

Chotnicka

Przegląd
Prace

Rok II

Czerwiec – Lipiec – Sierpień

Nr 9-10-11



WŁOCHY 1944

„Ochotniczką,, ukazuje się raz w miesiącu

Wydawca: Oddział Propagandy i Kultury A.P.W.

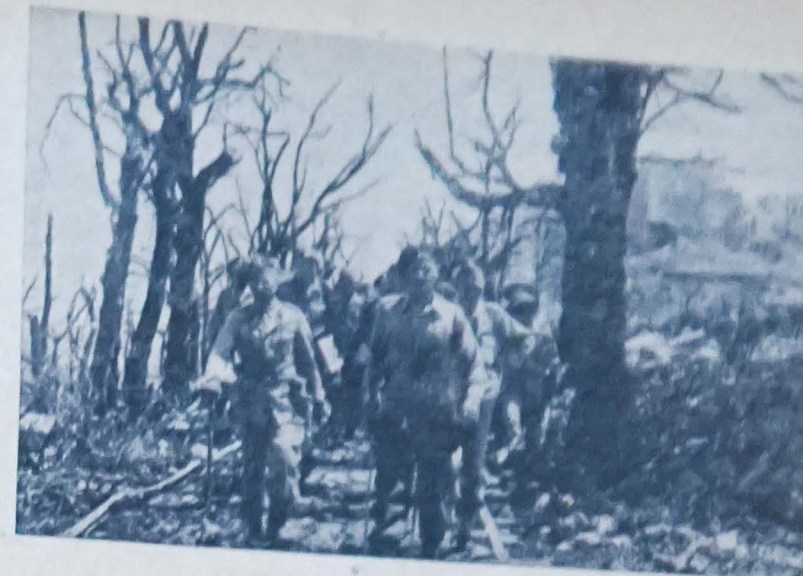
Redaktorka Naczelna: dr Hermina Naglerowa

Adres redakcji i administracji: Polforces CMF 58

„Ochotniczkę” nabywać można w Referatach Propagandy i Kultury A.P.W., w Oddziałach P.S.K., w Kantonach polowych oraz Świetlicach

Cena 20 lirów

Tłoczono w Ciężkiej Drukarni Polowej A.P.W.



Gen. Anders pod Monte Cassino

ŻOŁNIERZE-OBYWATELE

Wywiad z Generałem Andersem

Zwycięstwo, odniesione przez 2 Korpus pod dowództwem Generała Andersa na Monte Cassino i Piedimonte, należy do tych czynów wojennych, które od razu osiągnęły miarę wielkości. Czyn ten jest wspanialszy od swego rozgłosu i żaden wysiłek słów, określeń i opisów nie potrafił podobać wysiłkowi ducha żołnierskiego i ludzkiemu trudowi fizycznemu.

Kiedy otrzymałam zgodę Pana Generała Andersa na udzielenie mi wywiadu dla „Ochotniczki”, zdałam sobie sprawę, że w wymiarach historii, że wobec tego najwyższego naszego osiągnięcia obecnej wojny, każde pytanie postawione Dowódcy będzie niewspółmierne z rzeczywistością. Pan Gen. Anders przyjął mnie jednak z taką prostotą i serdecznością, że patrząc na jego opaloną i nieco zmizerowaną twarz, musiałam przez dłuższą chwilę zastanawiać się nad tym, jaki jest ten człowiek, który w najcięższym momencie wydzwignął sprawę Polski. Otóż iak myślę, że Gen. Anders nie był zaskoczony swym czynem. Jego prostota i naturalność wynikają z ciągłej gotowości dania z siebie najwięcej, mierzenia sił na zamiary. Tak wychowywał żołnierzy pobieranych zewsząd, tak właśnie potrafił porozumieć się z nimi, że znieśli i zmoгли najcięższe.

Gen. Anders mówi bez patosu o dokonanym dziele. Nie ma w nim dumy, jest tylko radość i wzruszenie. Nie ma egocentryzmu — wszyscy są uczestnikami zwycięstwa. Oto jego słowa:

— Bitwę wygrał Korpus, ale trzeba to zaznaczyć, że wygrała ją przede wszystkim bohaterstwo piechura, który szedł do walki wręcz. Rozumiem przez to, że piechurami są te wszystkie spieszne rodzaje broni, które opanowały ten trudny teren. Bitwa zebrana została przez wszystkie komórki bez zarzutu.

Generał opowiada o przeciwnościach terenu, o czołgach pierwszy raz zastosowanych w walkach górskich, o brawurze żołnierza, o nieustępliwości w zdobywaniu niemieckich bunkrów i pillboxów. Nie chce niczego ominąć ze zmagania z przyrodą, z terenem, ogniem i zaciekleścią nieprzyjaciela. Nic tam nie było łatwe, a bitwa rozciągnęła się przecież na szereg dni, domagając się od żołnierza więcej niż wytrwałości, bo bezustan-

nego bohaterstwa. Ścisłymi, nieomylnymi słowami kreśli Generał przebieg tych dni, w których żołnierz polski przedzierał się przez piekło do sławy.

Za oknem, na którego tle obrysowuje się sylwetka Gen. Andersa, jest niebo w obłokach, śpiew ptaków i szelest liści. Stary zamek na górze przybrał spłowiałe gobelinowe barwy. Dawne wieki zamierają do reszty wobec grozy współczesności. Ale i ta groza odeszła już stąd o wiele kilometrów na północ. Na niewiele dni został tu jeszcze ciężki bieg samochodów. Wnet i to ucichnie, a nad miastem zapanują dzwony kościelne, mierzące spokojnie czas mieszkańców.

Miłe, pastelowe barwy ranka zaczynają mazać się wspomnieniem. Tamten ranek był szary, jak tamten kraj. Moskwa. Hotel „National”. W holu Gen. Anders, oficerowie, Ambasador Rzeczypospolitej. Wyjazd do Buzulu.auta stoją przed hotelem. Rudy mur Kremla, patyna kopuły i kopułek cerkwi. Ulica pusta. Przechodnie pomykają w bocznicę. Natrętnie przypominała się zwrotka:

„I Polak w Moskwie był
I on był groźnym z sił
I przed nim czołem bił
Dzisiejszy pan...”

Pieśń przekornie śpiewana na nutę „Boże Caria chrań” kiedyś w dzieciństwie, w szkole św. Anny we Lwowie. W tej chwili jest w nas wszystkich przekora. Wczorajsi więźniowie i „łagiernicy” powracają do człowieczeństwa i do — historii. Generał Anders rozmawia z oficerami, dostojnikami NKWD, nienaganni w formach, gospodarzą czujnie, patrząc w twarze obecnych, aby rozszyfrować zatajone uczucia i myśli. Czyjeś jasne, niemal sine źrenice, przyglądawszy do Generała Andersa, nie chciały się omylić we wnioskach, ale nie mogły też ukryć swojej niechęci do tego, co tu ożywało i tworzyło się wbrew nieodwrotności faktów.

Jakby pod temat mojego wspomnienia powiedział Generał Anders:

— Od tamtych dni, kiedy zacząłem tworzyć Armię w Z.S.R.R., żołnierz polski wykazał nienaganne cnoty obywatelskie. Jesteśmy nie tylko częścią wojska polskiego

ale częścią Polski we wszystkim, co wypadło nam uczynić w każdej fazie naszej wędrówki, w każdym okresie naszych przygotowań do działań wojennych. To, co się teraz stało, jest potwierdzeniem tych wielkich wartości żołnierza-obywatela. Spełnił on dobrą robotę dla Polski. —

Waga tych słów onieśmiela. Czyż nie są one jedynie istotną definicją, gotową do przetrwania w historii? Wśród zasłużonych superlatywów, które zaludnią twórczą legendę o włoskich bojach „Karpackiej” i „Kresowej”, będą te słowa zawsze najwierniejszym potwierdzeniem prawdy. Ich surowy umiar ogarnia bowiem i czyn wojenny i sprawę Polski. Wydobywa tę sprawę z wszelkich zagmatwań politycznych, dając jej bieg własny do jedyne go celu, tak świadomego jak życie.

Nie ma nikogo, kto nie pomyślałby tak samo i nie uczestniczył w tej robocie według swoich sił, ponad swoje siły. Generał wie o tym i dlatego sam zaczyna mówić o Pomocniczej Służbie Kobiet:

— Ochotniczki nie zawiodły mojego zaufania. Spodziewałem się, że tak właśnie spełnią swój obowiązek. Tak samo jak żołnierz w boju i one wyteżyły całą swoją wolę, pełniąc ciężką służbę w pociągach sanitarnych, w szpitalach. Opanowane i odważne, miały dla rannych niestrudzoną troskliwość. To samo mogę powiedzieć o

zapobiegliwości kantyniarek, których zjawienie się podtrzymywało morale żołnierza. Nie mniej zasługują na pochwałę kierowczynie i łączniczki. Jeżeli kiedyś żołnierz krytycznie odnosił się do ochotniczek, to dziś ma do ich pracy i do ich postawy stosunek jak do najlepszych. Poniechał nawet żartów pod adresem kobiet w najcięższym mu w cierpieniu i pomóżeniu mu. Wdzięczność żołnierza jest najlepszą rekompensatą dla Pomocniczej Służby Kobiet. Zresztą — nie jest to pomocnicza służba z tytułu, ale spełnianie w czasie akcji tych zadań, w których nie można kobiet zastąpić. —

Te wypowiedzi Pana Generała powtarzam Koleżankom P. S. K., aby wiedziały, że nie zostały pominięte w bilansie chwalebnych dni.

Notując słowa Gen. Andersa, umieściłam między skrótami wyrazów datę: 15-ty czerwca. Wiec to wszystko, o czym mówi Generał, działo się przed miesiącem. Waham się, czy powiedzieć „zaledwie”, czy też niekrotnieprzyjacielem, cofającym się na nowe pozycje. Trudno te Cassino, Cairo, Widma i Piedimonte — rozwija się w perspektywę historii.

H. N.



*Jęńcy niemieccy
wzięci do niewoli
przez wojska
sojusznicze*

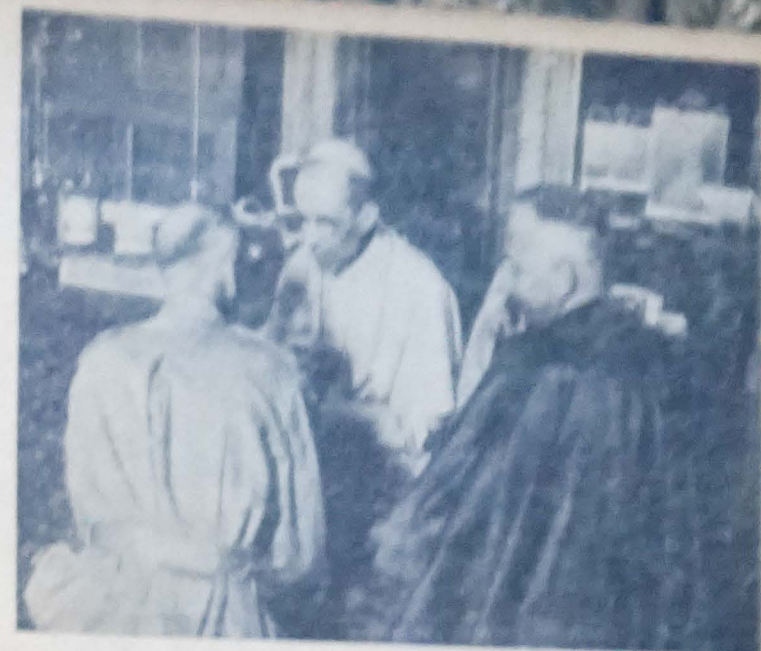
*podczas walk
toczących się
na froncie
włoskim*

U Ojca Świętego

W dniu 28 lipca przyjął Ojciec Święty Pius XII na publicznej audyencji Naczelnego Wodza, gen. Sosnkowskiego i gen. Andersa na czele delegacji wszystkich oddziałów. Wśród delegatów byli i ochotniczki.

Ojciec Święty przemówił do przedstawicieli wojska naszego bardzo serdecznie. Ponieważ w naszej prasie ukazał się pełny tekst przemówienia, dajemy więc tylko fragment, odnoszący się do kobiety polskiej:

„Widzimy tródkę, które w najniebezpieczniejszych godzinach zachowują w was życie zdrowe i mocne. Jest nim energia i mądrość waszych podziwu godnych kobiet, które w czasie niebezpieczeństwa okazały się tak często mocną podporą waszej nadziei. Jakże w ciągu tych ciemnych lat pracowały wasze matki, siostry, żony i narzeczone, jak cierpiały, jak modliły się za was i w jedność z wami...”



Naczelnny Wódz na audyencji u Ojca Świętego

...I oto wyrosli wielcy przywódcy, nieustraszeni, zdecydowani, przewidujący...

Na Placu Weneckim (Piazza Venezia), przed frontem sławnego pałacu, z którego Mussolini pięć lat temu rzucił słowa „La Polonia e liquidata”, odbyła się w dniu 1. sierpnia w piękne słoneczne przedpołudnie uroczystość dekoracji Dowódcy 2 Korpusu gen. Władysława Andersa Komandorią Orderu amerykańskiego „Legion of Merit”.

Swiadkami tej uroczystości były setki żołnierzy amerykańskich, brytyjskich i polskich. Mieszkańcy Rzymu tłumnie zajęli pobliskie ulice i wypełnili okna i balkony domów. Witani hymnami narodowymi, odegranymi przez reprezentacyjną orkiestrę 2 Korpusu przybyli na Piazza Venezia generałowie armii sprzymierzonych oraz Naczelnny Wódz Polskich Sił Zbrojnych gen. Sosnkowski i Dowódca 2 Korpusu gen. Anders.

W czasie uroczystości gen. Devers wygłosił następujące przemówienie:

„Minęło pięć lat bez miesiąca od chwili, gdy Niemcy nie spróbowane rzuciły miażdżącą siłą swojej armii na granice Polski. Niemcy zaprzysięgły zniszczenie narodu polskiego — duchowe, fizyczne i moralne. Ten zamiar żwiódnął, a ich upadek jest skutkiem męstwa narodu polskiego. I oto wyrosli wielcy przywódcy, nieustraszeni, zdecydowani, przewidujący.

„Dzieje żołnierza polskiego, którego tu odznaczamy, mogłyby być przedmiotem epepej. Wyprowadził on dziesiątki tysięcy swego narodu do Persji, gdzie sformował

i wyćwiczył armię. Dowodził tą armią — 2 Polskim Korpusem — we Włoszech. Pod jego świetną komendą Korpus Polski odnosił wspaniałe zwycięstwa wszędzie, gdzie walczył. Historia opiewać będzie zdobycie Klasztoru. Po upadku Cassino, Korpus Polski zdobył Piedimonte, a potem walcząc na prawym skrzydle VIII Armii parł naprzód ku nowym zwycięstwom, zdobywając Anconę i Senigalię.

„Nie było walczących, którzy by przewyższyli tych żołnierzy i nie było żołnierzy,

którzy mieliby bardziej zasiedzone przyczyny i większe potędy do zniszczenia nieprzyjaciela.

„Ich ojczyzna została złupiona. Nacząc się wkrótce stanie się ona wojna, zajmując ważne miejsce w sprawach świata i pokoju.

„Generale, jest zaszczytem dla mnie wręczyć Ci Komandorię Legion of Merit w imieniu Prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki”.





WRAŻENIA

Stary kościół — kamienna korona
W drzew obrębie, w oparów smudze...

Doła moja niewydarzona,
Jakie to wszystko cudze!

Domostwo z surowej cegły,
Bluszczem obroste podwoje —
Z powitaniem psy ku mnie podbiegły —
Serdeczne, ale nie moje.

Służące: Phylis, Rebeka —
Golf: aksamitne boisko —
Jakie to wasze wszystko!

Ja zaś jestem z bardzo daleka...

O zmierzchu, domowe ognisko
W marmurowym, czarnym kominie

Zapłonie jak bukiet chryzantem
Zgromadzonej przed nocą rodzinie
Radio zagra „The National Anthem“ —
O jakież cudze to wszystko.

Na ileż lat szczęścia liczyte?
Powiedzcie. Ja was nie straszę,
Nie pouczam was, czym jest życie.

Jakie to wszystko w a s z e!

Lecz te głogi kwitnące, bezpańskie,
To niebo w katuży, jak w blasze,
Ten wiatr na umartą nutę,
Ten trakt daleki, ten smutek,
Rosy, kolce,

To już nietyłko wasze,
To już i moje, cygańskie,
Cygańsko-polskie...

Maria Pawlikowska

DWIE DATY

Jest w Rzymie popiersie Marszałka Piłsudskiego — rzeźba Kuny — umieszczone na Via di Giuseppe Piłsudski na cmentarzu „Pamięć” — „Pamięć” — uczuć jakich doznają przy tym pomniku nasi żołnierze zwiedzający miasto. Dnia 28. lipca na cokole pomnika złożył wieniec gen. Sosnkowski, kiedyś Szef Sztabu Kościuszkowicza, dziś Wódz Naczelny Armii Polskiej. Hołd ten oddany Wielkiemu Marszałkowi w okolicznościach szczególnie ciężkich dla Polski, wiąże się jednak z najpiękniejszymi sukcesami naszej Armii. Łączy się też z wydarzeniami przeszłości, tak jeszcze niedawnej, a tak już przeobrażonej.

Z przeszłości tej wyjmemy dwie daty: 6 - ty sierpnia 1914 r. — data wymarszu Kadrowej z krakowskich Oleandrów i Święta Żołnierza. Obie te daty mówią o wojnie z Rosją. Jedna wznawiała wojnę po półwiekowej przerwie od Powstania Styczniowego. Druga upamiętniała zwycięstwo nad armią sowiecką w r. 1920.

Wymarsz Kadrowej, mimo romantycznych akcesorji, był wstępem do bojów Legionowych, dla których oparciem stała się nieustępliwa i odważna postawa polityczna Józefa Piłsudskiego. W tej wojnie honor męża stanu nie rozmiął się z honorem żołnierskim. To też, mimo kwestionowania w toku tej wojny praw Polski, rezultat dla nas był dodatni.

Pokój Wersalski, porządkując sprawę europejskie, wskrzesił Państwo Polskie, nie ustalając jednak narazie jego granic wschodnich. Odparty w r. 1920-tym najazd wojsk sowieckich, zwycięstwo polskie pod Warszawą, wreszcie Traktat Ryski — daty tym granicom prawnocną stałość. Prawie przez dwadzieścia lat Rosja Sowiecka nie przekraczała tych ustalonych granic. Przez te wszystkie lata Święto Żołnierza było zarówno przypomnieniem zwycięstwa nad Wisłą, jak i corocznym uświadamianiem sobie tej stałości wschodniej granicy.

Wojna obecna znowu wyzwoliła agresywność Rosji, najpierw jako sprzymierzeńca Niemiec, a teraz jako sprzymierzeńca państw anglosaskich. Za oba przymierza Rosja Sowiecka żąda tej samej zapłaty w odniesieniu do Polski. Nie rozważając tu sprawy naszego osamotnienia politycznego, z zestawienia tamtych dat historycznych z chwilą obecną, wysnuć trzeba taki wniosek — że nasi dzisiejsi mężowie stanu rozmiłują się z wolą walczącego wojska. Wojsko to bowiem ani na chwilę nie zmieniło celu, o który walczy i nie zgadza się na zmniejszenie obszaru Ojczyzny, którą chce odbić zaborcom całą, nie uszczuploną ani o jedną wieś, czy osadę.

Tegoroczne Święto Żołnierza, wzbogacone tyłu świetnymi zwycięstwami we Włoszech, nie zmieniło swojej najistotniejszej treści, związanej ze zwycięstwem w r. 1920-tym i z imieniem ówczesnego zwycięscy Józefa Piłsudskiego.

Rozkaz Naczelnego Wodza

Żołnierze 2 Korpusu! Przybyłem na front włoski z zamiarem pobytu w Waszym gronie. Niestety, rozwój wypadków zmusza mnie do przerwania podróży. Wezwany przez Pana Prezydenta do powrotu, odlatuję do Londynu. Żegnajcie się z Wami z ciężkim sercem, niby człowiek, który udaje się w daleką i trudną wędrówkę, opuszcza dom rodzinny i z żalem ogląda się poza siebie.

Przeżyłem z Wami od początku do końca dni zwycięskiej bitwy pod Anconą. Byłem dumny z Was widząc Wasze bohaterstwo, Waszą ochotę i zapał do walki. Na cichym cmentarzu włoskiego miasteczka, wśród lasu świeżych mogił kryjących zwłoki Waszych kolegów spędziłem pamiętne chwile zadumy i głębokiego wzruszenia.

Z największą radością odznaczyłem krzyżem „VIRTUTI MILITARI” Waszego zwycięskiego dowódcę i obok niego wielu dzielnych żołnierzy Korpusu. Przykro mi niezmiernie, iż nie zdążyłem odwiedzić szpitali Waszych, gdzie zamierzałem osobiście przypiąć krzyże tym, którzy krwią swoją ofiarnie zrosili pole walki.

Rozstaję się z Wami w chwilach przełomowych, na ostrym zakręcie dziejowym.

Znam dobrze Wasze wyznanie wiary, wasze myśli są moimi myślami. Wasze dążenia i uczucia mieć będą we mnie zawsze orędownika i obrońcę. Jako Wasz Wódz Naczelny uczyniłem wszystko, by były one również znane Panu Prezydentowi Rzeczypospolitej.

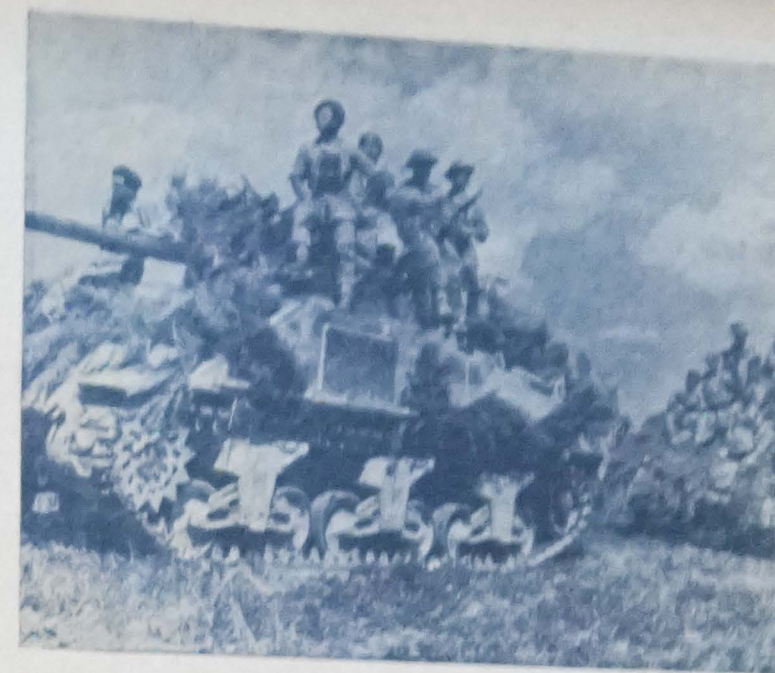
Polskie Siły Zbrojne, będące narzędziem woli Narodu, toczą walkę w obronie całości, niepodległości i honoru Polski. Te święte cele wojny obowiązują nas ciągle, przeto nie wypuścimy broni z ręki. Musimy maszerować dalej, choć serce nieraz z bólu pęka, a zmęczone oczy napróżno rozglądają się dookoła w poszukiwaniu prawdy i sprawiedliwości.

Szlaki Wasze, tak krwawe i ciężkie, są proste i uczciwe. Jest to droga obowiązku wobec Polski, droga nieskalanego honoru żołnierza polskiego, który był, jest i pozostanie rycerzem bez skazy i prawdziwym gentlemanem. Bądźcie przekonani, iż postępując w ten sposób, służyte jednocześnie ludzkości i jej najszczytniejszym ideałom. Mieć czyste sumienie, iść z podniesionym czołem, móc patrzeć wszystkim prosto w oczy w poczuciu usprawiedliwionej dumy żołnierskiej, oto wielka Wasza siła moralna, przed którą na dłuższą metę ostać się nie zdoła gwałt i przemoc.

Żołnierze 2 Korpusu, jesteście wspaniałymi, kochanymi chłopcami! Miłuję Was z głębi duszy, wierzę w Was i mam do Was zaufanie bez granic. Wiem, że maszerując wspólnie, przetrwamy, zwyciężymy i do celu dojdziemy.

Rzym, dnia 2. sierpnia, 1944.

NACZELNY WÓDZ
SOSNKOWSKI gen. broni



Czołgi pod Anconą

Warszawa — symbol wolności

Zbieramy obecnie owoce polityki, zapoczątkowanej nazajutrz po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej. Wtedy Polska stała się najbardziej aktywnym szczytciem zaufania do... Sowietów. Inicjator tej polityki, gen. Sikorski, miał jeszcze dożyć chwili, gdy zaczęła się ona walić w gruzy, tj. gdy Moskwa jąta dawać do zrozumienia, że w pakcie Stalin-Sikorski Polska nie została uznana za partnera Sowietów, ale za wasala Rosji.

Ostatnie tygodnie życia śp. gen. Sikorskiego wypełnione były gorczyzą z powodu tego odkrycia. Jego następcy nie umieli z tych doświadczeń wyciągnąć żadnych konsekwencji. Niby dźwięków czarodziejskiego fletu, słuchali słów Stalina, że pragnie „Polski silnej, niepodległej i demokratycznej”. Słowa te brano — w niewybaczalnym zaślepieniu — tak, jak były powiedziane, a nie tak jak były pomyslane.

Dziś już widzimy zupełnie jasno to, co bardziej przewidujący dostrzegali w r. 1941: w wojnie totalizmów Polska nie może być stroną, ponieważ w rezultacie zawsze będzie ofiarą. Rozumiała to nasza polityka przedwojenna, która wobec groźby wojny totalizmów stanęła mocno po stronie demokracji, gdyż miała prawo uważać mocarstwa demokratyczne za siły interwencji. Nie zrozumiała tego rząd, który sam nazywał się „demokratycznym” i nie umiał stać się sumieniem demokracji. Nawet nauki ostatnich miesięcy — walące się z gwałtownością nawały i pomoru — poszły w las!

Kiedy jego polityka „zaufania do Rosji za wszelką cenę” została przez Moskwę przekreślona — gen. Sikorski pojechał do armii na Bliskim Wschodzie, by pokrzepić

się jedyną pociechą, jaką mógł jeszcze uśmierzyć swoje rozczarowanie: że oto uratował tych kilka set tysięcy istnień polskich, że przecież polityka jego nie była tak zupełnie pozbawiona sensu. Może uprzytomnił sobie wtedy jednak, że ratując tych parę set tysięcy Polaków — utrudnił sobie i polityce polskiej uratowanie pozostałych trzydziestupięciu milionów! Niestety, generał Sikorski nie pozostawił testamentu, w którym byłoby zawarte nie tylko jego złudzenia, ale także jego gorzkie doświadczenia. Słabi i mali następcy kontynuowali politykę złudzeń Sikorskiego i myśleli, że wykonują jego testament!

Lecz szlachetna — może nadmiernie szlachetna — intencja polityczna Sikorskiego wydała jeden owoc, który — dobrze zaszczerpiony na drzewie polskiej państwowości — może dać obfite owocobranie: tym owocem jest Armia Polska na Wschodzie, która w tym ostatnim roku stała się sumieniem polskiej polityki. Walczący kraj, krwawiący się w strasznych zapasach Armia Krajowa — znalazła w naszym wojsku wyrazić swoich pragnień i myśli, który jest niemniej niezłomny i nie mniej wytrwały w swoich przekonaniach, jak bojownicy Polski Podziemnej. Żołnierze polscy we Włoszech dobrze zdają sobie sprawę, że walcząc i żyjąc w lepszych niż kraj warunkach — wzięli na siebie odpowiedzialność, która czyni z nich część Polski Podziemnej i że z tą Polską Podziemną będą zrastać się coraz ściślej w miarę, jak Polska naziemna będzie w obozie alianckim coraz bardziej osamotniona.

Osamotnienie to jest już dziś niemal kompletne. Sojusznicy nasi pozostawili nas



Rozbrajanie min

sam na sam z Rosją — która tyle im zawdzięcza i tak bardzo zależna jest w swojej walce obronnej od ich pomocy — jasno i wyraźnie odmówił nam prawa do obrony przed zakusami Sowieców, owszem, zachęcając nas byśmy zgodzili się być tym czym Moskwa nas chce mieć: wasalami Rosji.

Niema w naszej postawie — tj. w postawie kraju i wojska — nic z tego „ciasnego partykularyzmu”, który wybitni politycy, mężowie stanu i publicyści przywykli ostatnio piętnować jako źródło wszelkiego zła. Walczą o siebie, dobrze rozumiemy, że prowadzimy bój o wolność wszystkich narodów, bo nie duma narodowa, ale zachłanność wielkich imperiów jest istotnie źródłem wszelkiego zła, jakie od pięciu lat wali się na ludzkość. My jesteśmy tej prawdy żywym przykładem i nie uchylając się od odpowiedzialności, jaka na nas z tego tytułu ciąży — jesteśmy palącym wyrzutem sumienia świata, który przed złem chce się ugiąć zamiast je wykorzenić!

Oczy wszystkich ludzi, którzy bez wolności nie wyobrażają sobie życia, wpatrzone są dziś w płonąca Warszawę. Ostatni zryw dogorywającej potęgi militarnej Niemiec wyławowuje się na tej garstce Polaków, którzy wiedzą za co giną i którzy wiedzą, co ginie wraz z nimi lub co wraz z ich śmiercią może być dla ludzkości uratowane! Ale tę śmierć świat musi zrozumieć! Świat musi zobaczyć, że dymem, unoszącym się nad świętym miastem wojen totalistycznych, przylgają się z peryferii przedmieścia praskiego — beczynniny i wyczekująco — żołnierze armii czerwonej. Świat musi zrozumieć, że oto powtarza się dzień siedemnastego września, gdy Polsce walczącej samotnie z hitlerowskim kolosem inny kolos sztylet wbił w plecy!

W prasie światowej rozległ się szerokim echem apel Naczelnego Wodza, gen. Sosnkowskiego do tych wojsk sowieckich, by walczącej z nawałą niemiecką Armii Krajowej i trzebionej brutalnie przez Niemców ludności polskiej



Raport oddziału Polskiej Armii Podziemnej

przyszli z tą pomocą jaką obiecał Polsce Stalin. Nie tam jest Polska, gdzie z przedstawicieli rządu robi się partnerów grupki uzurpatorów i zdrajców, nie tam jest Polska, gdzie Polacy przyjmują do wiadomości cudze dyktaty — ale Polska jest w Warszawie, w tym świętym mieście oporu przeciwko totalizmowi, w tym mieście, które jest symbolem walki o wolność narodów!

Tej Polski częścią jest Armia Polska na Wschodzie, w duchu tej Polski i my bijemy Niemców, bez których klęski nie będzie polskiej przyszłości!

Mieczysław Roman

„INTER ARMA NON SILENT MUSAE”

To nieprawda, że „inter arma”
Twój się śpiewny zatraca głos!
Niby posiew złotego ziarna
Czekasz chwili, by wydać kłos.

Żyjesz wiecznia. Nocą przez miasto
Jak gorący przebiegasz dreszcz —
Spadająca przebytyska gwiazda
Słowo twoje, nieznanym wiersz.

Przybądź ku nam w chwale i groźbie,
Hastem walki przebudź ze snu!
Wstrząśnij domem, pożar w nim roznieć,
Bo w bezwładzie niszczyje duch!

Napełń piersi jak oddech trzeźwo!
Uderz w serce jak w pełny dzwon.
Życiodajna strugo poezji,
Mocy, która zwyciężasz zło.

O, przybywaj! My w duszy tajniach
Przechowamy ciebie jak znicz —
Co w nas wzniosłe — strzeż i ochraniaj,
A co niskie — wypłeh i zniszcz.

K. Winnicka

(z polskiej prasy podziemnej)

Jedzie w wojnę dziewczyna...

Zaśnieżone miasteczka
Naklejone na stoku,
Ściany deszczem pobite,
Zapleśniałe wysoko.

Krzyża biała emalia,
Trawa pełna słów obcych.
Wojna, matka zwycięska,
Tu rozstała się z chłopcem.

W tym miasteczku noc ciemna
Mieszka nawet i we dnie.
Krzyże świecą nad nocą:
Biel w ciemności nie blednie.

Jedzie w wojnę dziewczyna,
Sny sfrunęły spod powiek.
Tak, dzieciństwo się kończy —
Właśnie zaczęła się ciemność.

Krystyna B.

MOŻNA NA WAS POLEGAĆ

Kochane Koleżanki!

Mówię do Was jakdybym pisała list. W tej formie przemawiałam do Was w okresie mojej długiej i ciężkiej choroby, kiedy tyle było czasu na myślenie o sprawach przeszłych, już dokonanych i tego, co stało się zadaniem na przyszłość. W czasie mojej choroby nastąpiły zmiany dla nas ważne. Pogłębiła się troska o sprawy polskie, którym tyle zagraża. Ale też stało się to, czego tak pragnęliśmy: weszliśmy znowu do akcji wojennej. Weszliśmy wspaniale, dając dowód, że żołnierz polski nie ma sobie równych.

Zadania Pomocniczej Służby Kobiet, oparte o podstawowe zasady pracy w wojsku, mają swój punkt ciężkości tam, gdzie jest żołnierz walczący. Na tym terenie jesteśmy przede wszystkim potrzebne, wykonując te działy pracy, w których szkolili się ochotniczki na specjalnych kursach.

Z radością stwierdzam, że opinia o Waszej pracy jest jednoznaczna. Jest pełna uznania. Nigdy zresztą nie wątpiłam, że spełnicie Wasze obowiązki należycie. Nie dziękuję Wam za to, bo słowo podziękowania wyrazi tego wzruszenia i tej dumy, jaką odczuwam, słuchając o Was. W tych wielkich dniach polskiej chwały, miłość moja dla Was doznała najpiękniejszego zadośćuczynienia.

Ale to był dopiero początek Waszej pracy. Rozwijające się wydarzenia wojenne wymagają od Was będą i nadal wytrwałości, odwagi i dzielności. Jest nas zbyt mało. Przemęczenie fizyczne trzeba będzie zwalczać siłą ducha, wolą i entuzjazmem. Tego nie można nauczyć, ani też nakazać. Są to jednak cechy kobiet polskich, przekazane tradycją. Można na tych cechach polegać, można na nich budować i pracę obecną i przyszłość.

Zostawiłyśmy nasze koleżanki w Palestynie i w Egipcie, bo tego wymagała konieczność. Pomocnicza Służba Kobiet jest jednak tak zwartą grupą, że zawsze pozostaniemy jednością. Lądy i morza nie dzielą dziś ludzi. Nie dzielą nawet całkowicie fronty. Łączy nas bowiem, gdziekolwiek jesteśmy, wspólna sprawa i wspólny cel. Nas — z P.S.K. — łączy ponadto koleżeństwo, uczucie wypracowane przez tyle lat jednakiej doli i niedoli.

Przeżycia tych ochotniczek, które są bliżej żołnierzy i ich praca, objęta ważnością wojny, wzmagają jedynie powinna ich poczucie odpowiedzialności. Nie byłoby dobrze, gdyby to budziło w tych ochotniczkach poczucie pychy. Wiem, jak bardzo chciały wszystkie jechać do Włoch. Te, które zostały w Palestynie i w Egipcie, spełniają swoją pracę pilnie i karnie w warunkach nie wszędzie dobrych. Tym w Egipcie przypadła w udziale pustynia, żar tropikalny, hamsiny. W Palestynie, w korzystniejszych warunkach klimatycznych — zostały przede wszystkim Młodsze Ochotniczki w szkole, nauczycielstwo i te ochotniczki, które przydzielono do biur, nie chcąc ich na jakiś czas rozłączyć z dziećmi w szkołach i z rodziną.

Plisz o tym dlatego, żeby nie było żadnych nieporozumień opartych na nieuzasadnionych domysłach i mylnej interpretacji. Jedność P.S.K. powinna przetrwać wszystkie zmiany organizacyjne, a te grupy, które rozdzielił rozkaz, będą miały w chwili ponownego zespolenia się niezgaszone uczucie koleżeństwa wzajemnego. Napewno nie będzie wtedy owo „my” i „wy”, ale jednolite, tej samej idei służące P.S.K.

O to samo zwracam się do ochotniczek przebywających w Palestynie i w Egipcie. Rozłączenie nie wpłynęło na nasze poczucie wspólności i wiernego koleżeństwa munduru. Nikt nie może różniczkować naszej pracy na ważniejszą i mniej ważną. Dobrze spełniana — jest jednakowo ważna i pozostanie pożyteczną w naszym dorobku. Pisujcie do nas. Niech wszystkie wasze myśli, rozważania, tęsknoty i zagadnienia zgłaszają się w naszym piśmie, w „Ochotniczce”, która jest tym łącznikiem najbardziej widocznym i uchwytnym. Kiedyś po latach, w szczęśliwej Ojczyźnie, „Ochotniczka” dopomoże do rekonstruowania tych czasów, które dawały nam tyle tre-

ści pełnej wartości, tęsknot i wspomnień przelotnych.

Nie obcy też w moim „ludzie” pamiętam tych Koleżanki, które rokami przesiedliły do Anglii. Nie wykreśliłyby ich przesiedlenie ani z zespołu, ani z naszego serca. I one — jak to wiemy z ich listów — zachowały dla nas swoje najlepsze uczucie. Są wiernymi szlendarówi P.S.K. Ich praca jest tam pod wieloma względami inna niż nasza, ale związana z lotnictwem i z marynarką.

Jedni więc ogarnięmy całość pracy P.S.K., stwierdzimy, że odbywa się ona w szerokim zakresie wojennych potrzeb. Wszystkie grupy, wszystkie nasze oddziały pracują wydajnie i nikt już dziś nie powie, że P.S.K. nie jest potrzebna w wojsku. Raczej ustala się przekonanie o tym, że jesteśmy w działaniach naszej pracy niezastąpione, a w wykonywaniu jej bez zarzutu. Tak właśnie określił swoje uznanie dla nas Dowódca, gen. Anders, tak nas dziś oceniają żołnierze.

Przeżywamy teraz ciężkie dni. Ani na chwilę nie odstępujemy nas troska o naszą, polską sprawę. Wiedzieć jednak musimy, że w każdej chwili powinniśmy spełnić nasz obowiązek żołnierski i obywatelski. To nas podnosi na duchu, to nam nakazuje godność Polski.

Bronisława Wystouchowa

HISTORIA, KTÓRA PISZE SIĘ OSOBNO

W historii ruchu kobiecego, która ciągle jeszcze pisze się osobno, zdobywaniu praw stawał na przeszkodzie argument o nierówności wykonywanych obowiązków obywatelskich. Sprawa podziału pracy i swobody jej wyboru, jakkolwiek przyjęta i uznawana, nie łagodziła jednak sprzeciwów. Pojęcie równości społecznej nie rozstrzygnęło zagadnienia kobiecego w praktyce ponieważ nie potrafiło pokonać upórów psychicznych, nawyków obyczajowych i złe pojętej męskiej ambicji. Kobiety musiały i nadal borykać się z urazem mniejszej wartości, który nie zawsze przeobrażał się w spotęgowaną wolę osiągnięcia. W powszednim życiu kobieta zbyt często rezygnowała ze swoich dążeń, aby nie wywoływać sporów rodzinnych. Wreszcie sama, pod naporem przeciwieństw i stereotypowej dialektyki, zaczynała powątpiewać o wartości swojego udziału w wielorakich dziedzinach pracy twórczej i wykonawczej.

Nie należy się więc dziwić, że powołana do życia w ZSRR przez gen. Andersa Pomocnicza Służba Kobiet w wojsku miała przeciwników na wszystkich szczeblach. Rzecz była poniekąd nowa, przekraczała pod względem ilości udział kobiet w Le pod względem organizacji rozbudowywała się szeroko, sięgała po nowe działy pracy. Krytyczne nastawienie mężczyzn do P.S.K. miało najrozmaitsze przyczyny, i napewno

nie ułatwiło nam osiągnięcia naszych zamierzeń. Kroniki nasze nie odzwierciedlały nawet w części tych faktów, które podważały naszą spójność. Trzeba było etapami i dorywczo zdobywać nie tylko podstawy prawne, ale i wywalcząc zrozumienie dla ludzkiej równowartości kobiet w mundurach.

Krytycy i sceptycy szermowali argumentami uszczelnionymi z historii, filozofii, psychologii, przyrody. Pseudonaukowe dowodzenia służyły upraszczaniu wniosków, skierowanych oczywiście przeciwko nam. Przeciwdziałaliśmy jedynie cierpliwością i spełnianiem powierzonych nam obowiązków. Ale jakże nie łatwo jest w niekrytycznej aurze wszczepić te cnoty masie kobiet. Wychowywanie, zwłaszcza młodych dziewcząt nie znających uporczywego działania przesądów, było szczególnie trudne. Powoli jednak przewyżczyliśmy i poczucie krytyki i zniechęcenie. Ideologia P.S.K. krystalizowała się wbrew niesprzyjającym warunkom.

Zespołowość dała ochotniczkom poczucie wartości. Sprostanie zadaniu, wywiązanie się z powierzonej pracy, sumowanie każdej czynności na dobro wspólne, najwyższego celu — stało się programem P.S.K. Bez frazeologii i efekciarstwa dokonywały się w nas samych przeobrażenia, skłaniające do czujności, do surowej samokontroli.

Mam wrażenie, że ten wstęp, który przesługuje się tylko po istotnych zagadnieniach Pomocniczej Służby Kobiet, stracił już teraz wiele na aktualności. Nastąpiły bowiem takie wydarzenia, które nakazały wszystkim uczestnikom wyrósć ponad siebie. Pospolity człowiek stał się większy od swojego przeznaczenia i dotarł do takiej wiedzy o sobie, do jakiej dochodzą jedynie wielcy twórcy i — bohaterzy. Wojna, poddana analizie, zasłużyła zawsze na potępienie dla swojego okrucieństwa, dla niechęci, które przynosi. Ale to, co człowiek w boju wydobywa z siebie jako wysiłek poza ostateczny, jako ekstazę poza śmiertelną — na zawsze otrzyma nazwę heroizmu.

Zanim ludzie ci powrócą do małej i drobniawej codzienności, nastąpiły w nich przemiany przeobrażające ich światopogląd. Ich doświadczenia, które w toku i w następstwie wydarzeń, stawały się osobiste w odczuwaniu cierpienia, w wyczerpaniu sił, w reakcji psychicznej — nie były złączone dawnymi uprzedzeniami. Eleiły złączone dawnymi uprzedzeniami. Elementarny wstrząs stwarzał jakgdyby nowy świat pojęć i uczuć, świat wyzwolony, bo wydarty śmierci. Dawne urazy — jakiegoś były pochodzenia — nie wypaczały rzeczywistości.

W tym nowym świecie, który dla uczestników heroicznych walk wyłonił się ze zgrozy, kobiety stały się sercem upragnionego życia. Nie było takiej nędzy ciała, której nie dotknęły się ręce kobiet i której nie upiększyłyby jej uśmiech. Bezważnym używały swoich sił, aby nikt nie wątpił już, że kobieta umie pokonać swoją wątłość. Nieprzytomni nie liczyli godzin jej pracy bez wypoczynku, bez snu w nocy. Jej słowa, zrodzone z miłosierdzia i podziwu, budziły ufność, o tyle bardziej zasłużoną niż dawny sceptycyzm.

Kiedyś — było to jeszcze w Iraku, a toczyła się zasadnicza dla P.S.K. sprawa, czy ochotniczki mają, mogą, powinny zostać w dywizjach — przyszedł do mnie przeciwnik. Szumiąc argumentami, wytrząsał wreszcie działo najcięższego kalibru: „Pani nie wie, jakie instynkty budzi wojna. Nie wolno kobietom być blisko wojny, być w obrębie tych właśnie instynktów”. Mówił to w najlepszej wierze, zarzucając mi brak wyobraźni, naiwność, niemal głupotę. Stało się tak, że kobiety usunięto z dywizji. Ale nasz upór doprowadził do skutku stworzenie „Kompanii Kantyn Polowych i Bibliotek Ruchomych”. W najgorętszych miesiącach w najgorętszym klimacie odbywał się kurs, przygotowujący kantyniarki do pracy w warunkach polowych.

Możnaby wiele pisać o tym, jak zaciekłe zwalczano owe „Kantyny”. Była to historia jakichś małych, ale Kantyny powstały i są. Zmniejszono ich liczbę, zmniejszono zakres ich pracy. Mimo to, blisko, niemal w zasięgu akcji zjawiały się kantyniarki ze swoim ruchomym, zmotoryzowanym domem, sklepem, bufetem. Ktoś opowiadał: „Nosiliśmy je na rękach”. Ktoś inny powiedział: „Kiedy przyjechała Kantyna, pła-

kać nam się chciało z radości”. Otóż i instynkty — otóż i te niezbita racje przeciwników i znawców psychologii żołnierza! Tyle przecież dokonali, że Kantyny są kropką w morzu i że trzeba je na gwałt rozbudowywać.

W reportażach i opowiadaniach, zamieszczonych w naszym piśmie, przebieg i następstwa pracy przedstawiają same uczestniczki. Bezpretensjonalne relacje nie dają istotnego obrazu i mają plochliwość słów nie nadających rzeczywistości. Mimo to, są dokumentem przydatności P.S.K. w wojsku — podczas działań wojennych. Szpitale, Kantyny, Transport, Łączność stały się służbami wojska kobiecego. Nikt już nie może mówić o „straconym czasie”, o „niepotrzebnym balaście”, o „kłopotach” z ochotniczkami. Obok wspaniałych żołnierzy polskich, którzy w tej zdumiewającej wojnie potrafili wzbudzić podziw świata, Pomocnicza Służba Kobiet dzielnie utrzymała swoją pozycję.

Nie należałoby może mówić o tym, co jest samo przez się zrozumiałe. Trzeba jednak uczynić zadość ludzkiej ułomności, domagającej się uznania nawet za wykonanie obowiązków. Pochwała Dowódcy, wdzięczność żołnierzy i świadomość własna — pomnażają zapał, wzmacniają wolę. Praca nasza odbywać się bowiem będzie pod nakazem wytrwania wbrew ekonomii sił, bo w natężeniu. Czekają nas ciągle pokonywanie zmęczenia i trudów, których nie wolno nam będzie określić jako „ponad siły”. W podziale pracy — nasz udział pozabawiony jest brawury, świetności, rozgłosu. Ale jest nieodzowny i niezastąpiony.

Zapewne jeszcze nieraz będziemy musieli podjąć się dyskusji na nasz — P.S.K. — temat, aby prostować sądy i osady. Bo choć świat powojenny inny będzie musiał nadać kierunek pojęciom, na innych oprzeć się kryteriach, to jednak spory o „stan posiadania” trwać będą i nadal. Nasz ucziwy wkład pracy pozwoli nam na uczciwe stawianie sprawy w tych nowych warunkach, które będą musiały opierać się na istotnych wartościach. Na tym, czym się

Z cyklu „Cienie na piasku“

*Wielu było, których taska dźwignęta z topieli...
Całe rzesze płynące w ślad za Nim drogami...
Umarli, których wskrzesił,
ślepi, co przejrżeli,
niemocni, chorzy, chromi chodzący już sami.*

*Lecz bliżej mojemu sercu są tamci, nieznani,
o których milczą księgi,
a o których goręczy mi moja więcej opowiadać umię
niż myśl chce
i więcej niż może zrozumieć...*

*Bliżej mojemu sercu są ci, co nie doszli,
ci którzy niezbyt długo o drogę pytali,
ci wszyscy ślepi, chorzy, od tęsknoty biali,
ci wszyscy od nadziei i męki pobladli,
co na czas nie zdążyli,
co się nie dopchali,
i którzy zostali
i którzy przepadli...*

Beata Obertyńska

któ wykazał w zawierusze wojennej i czym się zaznaczy w budowaniu Ojczyzny i Państwa.

To, co teraz przeżywamy, w czym bierzemy udział indywidualnie i zespołowo, jest nietylko dowodem naszej narodowej żywotności, ale szkołą i miarą naszych charakterów. Kiedy bowiem rozsypana się nasza szeregowa wojskowa i zagarnie nas kolejowa praca, a dom stanie się znowu izolatorem dla naszego osobistego życia — trud odbudowy ciągle jeszcze będzie domagał form dyscypliny. Treść, jaką się damy tym formom, zależeć będzie od naszej treści wewnętrznej, od naszego charakteru. Toteż wytrzymałość nasza nie może być obliczona tylko na czasokres wojny, a spełnianie obowiązków nie skończy się ze zdjęciem munduru.

„Czarowna bajka” przyszości ma do pokonania góry, ruiny, nędzę i choroby. Nie stanie się to jednak za sprawą dobrych wróżek i krasnoludków. To ludzie sami przy Bożej pomocy będą musieli dokonywać cudów, na które złoży się ich pot i wysiłek. Dziewczyna, które „Jedzie w wojnę”, jak pisze poetka ochotniczka, zbywszy się snów, już stała się człowiekiem, już wie o prawdziwym życiu więcej niż mogły ją odmierzyć jej młode lata. Kaprys losu czy dziw przygody spełniał się dla niej na wędrownych obszarach. Ale kiedy na progu Ojczyzny odejmie ręce od kierownicy, raz jeszcze porzuci swoje dzieciństwo, aby pojąć nie spełnianie tylko, ale ukończenie obowiązku.

Trudno jest mówić, czy też pisać o sprawach twardych, o przyszłości nie ustanej różami, o tęsknocie, która się zażłobi. Ale ja wiem, że nie iluzji trzeba kobietom, aby sercem ich stało się zadość. Czekają na polskie dni, które podejmą się wczesnym świtem i zajdą późną nocą. Polskie dni pracy. Sposobią się do nich wytrzymałością, ochotą, uśmiechem i... wolą pokonywania przeszkód. Bo historia ruchu kobiecego w Polsce długo jeszcze pisać się będzie osobno.

Herminia Naglerowa

W walce ze śmiercią

Dawno już przebrzmiały strzały pod Cassino i Piedimonte. Już nasi chłopcy znowu Niemca gonią i gromią go pod Anconą. A jednak w dalekich, pozafrontowych szpitalach trwa wciąż jeszcze zaczęły w historyczne dni majowe bój. Bój najszlachetniejszy, walka najpiękniejsza o życie ludzkie ze śmiercią. Bój to przewlekły na dni, tygodnie, miesiące. Jest w nim nieznośny, nie do wytrzymania ból i nuda szpitalnych godzin, odór ropy i wydzielin ludzkich. Dlatego zdrowy człowiek nie lubi szpitala, dlatego chętnie z niego ucieka, dlatego o szpitalu tak mało pisze się w prasie.

A jednak, kto widział uśmiech rannego, zmęczonego do ostatecznych granic, kiedy w białym miękkim łóżku pod dotknięciem rąk siostry zapada w szczęście niepamięci, w sen spokojny, w świadomość, że go już nie będą nieść, wieść, transportować; kto widział wyraz prawdziwego szczęścia u znużonego długotrwałym operowaniem chirurga, gdy znów jedno życie uratował; kto widział, jak ranny żołnierz tuli się do siostry podczas bolesnego opatrunku — poprostu i szczerze jak do matki — ten wie, że piękno i dobro rodzi się tu na każdym kroku, że jest tu stale i na codzień. I chociaż to może jest tak mało nowoczesne i przebrzmiałe, już niemodne, powiedzieć należy otwarcie, że praca w szpitalu jest najbardziej odpowiednia dla kobiety. Nie wystarczy bowiem przygotowanie fachowe, znajomość środków i umiejętności zabiegów leczniczych — trzeba wyczuć każde życzenie rannego i każdą jego troskę.

Takie podejście do pracy w szpitalu sprawia, że nawet wątłe kobiety zdobywają się na największy wysiłek fizyczny. Widzieliśmy, że te same kobiety, które niedawno jeszcze na skutek ataków malarii były niezdolne do pracy, potrafiły w okresie nasilenia w szpitalach przyfrontowych i w C.C.S.-ach pracować po 36 godzin bez przerwy. W jednym szpitalu, gdzie na sekcji kobiecej stan chorych utrzymywał się zwykle w liczbie około 80-ciu osób, w czasie ofensywy zmniejszył się do liczby 4-5 chorych. Wszystkie chore poszły do pracy.

Praca w szpitalu pozafrontowym jest lżejsza niż pod linią frontu. Nie grozi bezpośrednio niebezpieczeństwo personelowi, przyjeżdżający nie są już oblepieni krwią i błotem. Ale zato ranni wymagają więcej, często się niecierpliwią, bo nudzi ich monotonia długich jednakowych dni szpitalnych, bo nie jest już atrakcją łóżko białe i wygodne, bo jedzenie się przykrzy, bo rana goi się nie dość szybko.

Z tym nastawieniem, z tą prawie psychozą musimi walczyć wytrwale co dnia. Nie wystarczy dobrze pod okiem lekarza zrobić opatrunek, na czas podać lekarstwo, obmyć, nakarmić. Trzeba rannego podnieść na ducha, pocieszyć gdy jest sam, gdy tęskni za oddziałem, za najbliższymi,

trzeba mu przypomnieć boskie sprawy. Siostra jest najbliższą chorego i zazwyczaj zyskuje sobie całe jego zaufanie. Tak samo jak widzi biedne umęczone ciało rannego bez żadnych obłonek, tak też poznaje jego najbardziej osobiste sprawy.

Mimo dużego wysiłku, było nam lekko w tej pracy. Bo wielki jest ten nasz żołnierz. Nie jęczał, nie skarżył się, nie płakał. Kiedy siostrze („siostrze niemiłosiernej”) łyzy w oczach stawały, że nie ma sił czarnoksiężnych, że nie ma wody gojącej czy uśmierdzającej, o której mówią w bajkach, balsamem na serce były słowa: „siostrze, przynajmniej nie nadarmo. Nie darmo siostrze, nie żal”.

Pierwsi ranni z bojów pozycyjnych, kiedy rana była raczej lekka — bardziej byli sobą przejęci. Jeden tak się rozśmiał: „Siostrze, ja już chyba nie będę żył, a żal mi umierać, mam taką ładną młodą żonę w Polsce. I myślę, że dlatego zostałem ranny, bo sobie znalazłem Włoszkę. Czarna jak diabeł, ale śpiewa, jak śpiewa, siostrze”. — Dużo mówią o kobietach pod narkozą. O miłości, o zdradzie, o tęsknocie.

Ale ci z majowej ofensywy i ci z pod Ancony przestali myśleć o sprawach uczu-

ciowych. Ież musiała namęczyć się siostra, gdy po operacji chorego w zamroczeniu zrywał się, odpychał ją i wespółowarzysty, którzy trzymali mu rękę aby gipsu z siebie nie zerwał, nie naruszył zoperowanej rany. Wyrzywał się i wołał: „Dajcie mi noża! Dajcie mi Thomasona! Na Niemca! Za moją matkę, za mego brata! Nie czas tu leżeć w szpitalu. Trzeba walczyć! Trzeba się bić!”. — Tylko o wielki z frontu wypytawali, gdy ktoś nowy przybywał na salę. Wypytywali o każde słowo z radia.

Rosła też wiara w skuteczność wysiłku. Chory widział wytężoną i mądrą pracę lekarza, który nie tylko chciał, ale umiał leczyć. Rosła wiara w skuteczność czarodziejskiego wprost skalpela chirurga, w nieomylnie skuteczny biały proszek sulfamid, penicilinę i wspaniałą w skutkach transfuzję krwi.

Gdy walki ucichły, przybyli goście. Ci najbardziej oczekiwani, z oddziałów, w nimbie zwycięskiej radości. Widziano się wtedy najpiękniejsze objawy prostego wzruszającego braterstwa i przyjaźni. Raz także jedna kompania transportowa P.S.K. zrobiła wielką niespodziankę. Przysłała po-



darki dla rannych w pięknych woreczkach, a w każdym kartka lub list do żołnierza. W jednym z woreczków wiersz, który czytany był wszędzie na sekcji i bardzo się wszystkim podobał.

I jedno jeszcze cieszyło. Oto dawniej w rozmowach z żołnierzem często powtarzał się jeden motyw: nieprzychylny stosunek do oficera. Trochę w tym było zawzięci, trochę żalów „pestkowych” czy innych. Po maju nastąpiła całkowita zmiana. Do przychodzących w odwiedziny oficerów oczy paliły się szczerym uczuciem. Potem opowiadał ranny: „Siostró, teraz my byli naprawdę jak bracia. Żeby siostra widziała, jak pułkownicy, majorowie znosili rannych z pola, jak nas ratowali”.

24 godziny sanitariuszki

Skromne, miłe dziewczęta zakasały ręka-
wy, chwyciły szczotki, ścierki i wiadra. Po
rozrzuconych jeszcze w nieładzie kamie-
niach dźwięczą szybkie kroki sanitariuszek,
które jak mrówki z najrozmaitszych miejsc
niestrudzenie gromadzą wszystko, co będzie
im potrzebne do ich przyszłego gospodar-
stwa na sekcjach. Każda już dziś dźwignę-
ła 50 żelaznych łóżek, wytrzępała setki ko-
ców. Spuchnięte nogi domagają się coraz
luźniejszego obuwia. Kark boli, gdy zasta-
ło się 150 łóżek. Łóżka czekają na chorych.

Jest ranek, godzina siódma. Grupkami
czy też pojedynczo zdążają sanitariuszki do
pracy. Spieszą się, bo jest ich mało, a pra-
cy tak dużo. Na sekcji, liczącej od 120 do
170 chorych, pracuje 4 do 5 sanitariuszek,
na jedną więc przypada 30 a często 50 cho-
rych. I to nie malaryków, ale rannych i
tym samym bezwładnych.

Dzień zaczyna się od przygotowania śnia-
dania. Jedna kraje chleb, conajmniej 120
kromek; druga robi kanapki; inna biegnie
z wiadrami do kuchni po herbatę; inna
wreszcie przygotowuje i roznosi po salach
lub namiotach kubki. Gdy wszystko przygo-
towane, każda porywa swoją herbatę i ka-
napki by je rozdać chorym.

A potem zaczynają się porządki. Trzeba

Najgorszy wróg atmosfery szpitalnej —
nuda. Z nią walczyć najtrudniej. Książek
za mało, radio w świetlicy, dokąd nie
każdy może pójść. Świetliczarkę chcieliby
mieć ranni do każdego namiotu. Czołówka,
czy teatr przyjeżdża nie często. A tam ko-
ledzy — na urlopiach, na świetnie zorga-
nizowanych wycieczkach. A ty leż i leż i
czekaj kiedy nareszcie zgoi się rana. Więc
siostra i kabałę postawić musi i do snu
zaśpiewać i dorywczy koncert z uzdolnio-
nych pacjentów zorganizować.

Jeżeli czasem coś się nie udaje, to chęci
nasze są naprawdę jak najszersze. Kie-
dyś, czasem wspomnij nas dobrze, żołnie-
rzu. Nic więcej.

Siostra Maryna

wytrzeć i wymyć szafki, sprzątać śmiecie,
zamieść i zmyć podłogi. Koleżanki z budyn-
ku zazdroszczą tym, które są w namiotach,
bo tamte tylko zamiatają, podczas gdy one
po 3 razy dziennie w dwóch a często i
trzech salach z uporem walczą ścierką i
wodą. Podczas tej pracy, ileż razy odrywa
sanitariuszkę wołanie: „Siostrzyczko, pić...”.
„Siostrzyczko, proszę poprawić poduszkę”
— lub cicho i wstydliwie: „Siostrzyczko,
proszę o kaczkę”. Przynieść wodę do umy-
cia chorych, przestać ich łóżka, pomóc uło-
żyć rannych, to również praca sanitariu-
szki.

Zaledwie porządki skończone, już sanita-
riuszki pędzą do kuchni, aby przygotować
drugie śniadanie dla dożywianych.

Mocują się z prymusem, „churchillem”,
łną puszki i palce, wreszcie, która pierwsza
i zwinniejsza, wybiega ze swoimi specjała-
mi do „swoich chorych”.

Ani się spostrzegły, że już po dziesiątej.
Trzeba przygotowywać naczynie do obia-
du. W kuchni rozlega się kakofonia dźwię-
ków. Dzwonią odliczane talerze, widelce,
noże i łyżki, huczy strumień wody w pod-
stawiane do płukania kubki, stuka nóż w
stolnicę podczas krajania w rekordowym
tempie chleba. Rośnie rząd wiader przygo-

towanych do pobrania obładu. Oj, te wia-
dra! To może obok mycia podłóg najwię-
ksza bolączka każdej sanitariuszki. Spotkać
kogoś z pełnymi wiadrami, to podobno
szczęście. Niektóre je byłoby nieszczęście,
gdyby nie świadomość, że robimy to dla
silek. Więc z miną zawziętą, uginając się
pod ciężarem wiader, napełnionych za-
pą czy kompotem, pokonywuje sanitariusz-
ka przestrzeń od kuchni oddziałowej do
swojej kuchni sekcyjnej i zaczyna rozda-
wanie obładu. Trasa prowadzi od stołu do
łóżka, od łóżka do stołu lub do kuchni.
Sanitariuszka nie liczy kroków, nie liczy
przebytych kilometrów.

Zmiana popołudniowa — jedna sanitariu-
szka na sekcję — ma obowiązek pospra-
tać salę chorych, dyżurki oraz kuchnię, któ-
ra po obiedzie wygląda jak bomba trafiony
magazyn naczyń. Do dyżurnej należy też
przygotowanie i rozdanie podwieczorku. Już
nie tylko w swoim namiocie czy sali, ale na
całej sekcji.

O 4-tej powracają sanitariuszki, które
były do obiadu. Tak jak się zaczął, tak i
kończy się dzień: na sali przy obudze
chorych, w kuchni przy przygotowaniach
do kolacji i sprzątanu po niej. Około 7-mej
sanitariuszki w poczuciu dobrze spełnion-
ego obowiązku, mogą spokojnie odejść.
Zwalnia je koleżanka, wyznaczona na dyżur
nocny. Często jednak zamiast do domu sa-
nitariuszka wraca jeszcze do namiotu lub
sali, ażeby pogawędzić trochę ze „swoimi
chorymi”, na co w dzień prawie że nie ma
czasu.

Nadchodzi noc. Na sekcjach ciężkich
przypadków i pooperacyjnych noc jest ru-
chliwa. Tam obchód po salach dyżurującej
siostry i sanitariuszki nie ma określonej go-
dziny. Trwa stale. Nie w tej sali, to w
innej nieustannie czuwa siostra i sanitariu-
szka. Na pustych korytarzach słychać szyb-
kie kroki a z sal dobiega to jęk, to wołanie:
„Siostrzyczko, głowa boli” — „Siostrzyczko,
ręka boli” — „Nie wytrzymam, rozetnę ten
gips” — „Pić...” — „Doktora!” — „Sanitariusz!”
I dlatego tak bezustannie biegają te białe
duchy. A czasem zatrzymują się one przy
łożku, stoją dłuższą chwilę, nadstuchując
oddechu.

Świt kładzie swe różowe blaski na blade,
zmęczone twarze siostry i sanitariuszki.
Wolnym krokiem wraca sanitariuszka na
rejon P.S.K., do swojego namiotu. Jest
zmęczona, to może jej siódmy z kolei dy-
żur nocny. Nie śpieszy się jednak. Oddycha
świeżym powietrzem ranka, pogrążona w
myślach. Te myśli nie rozstrząsają proble-
mów politycznych, nie zastanawiają się nad
prawem przyczyny, nie śledzą kryzysów
materialnych lub moralnych ludzkości. My-
śli te są raczej modlitwą poranną do Bo-
ga, aby pracę ich przyjął, aby prędko za-
goiły się rany nie tylko chorych, lecz i ra-
ny całego Narodu Polskiego.

H. C.

NA FRONCIE WYTRZYMAŁOŚCI PSYCHICZNEJ



Na sali ortopedycznej

„Czy siostry przygotowane? Za pół go-
dziny proszę być na oddziale”. Transport
rannych. Wbrew przewidywaniom i obli-
czeniom, szpital musi zacząć pracować dwa
tygodnie wcześniej.

Budynek szpitalny, dawna szkoła, ładny,
owszem — architektonicznie oczywiście
nieciekawym. — Na parterze stuki, szuranie,
suwanie, szmery. To robotnicy włoscy pra-
cują przy świetle elektrycznym nad urzą-
dzeniem sal operacyjnych, pracowni rent-
genologicznej, laboratorium. Do szpitala
trudno się jeszcze dostać. Przez rowy i
rowki, przez góry i górki piasku. Od czasu
do czasu trzeba skakać przez rury kana-
lizacyjne. Bo przecież budynek szkolny
jest bez kanalizacji i bez wody. No tak —
i coś z tego, że to XX-ty wiek. W tym
pięknym miasteczku są przecież nadzwyczaj-
nie urządzenia. Na przykład — o 12-tej
w południe jedzie bezcka na kołach. Kie-
rownik zakładu czyszczenia miasta dzwo-
ni i wtedy w podskokach zbiegają się panie
domu, tudzież pomocnice domowe z
kubłami i wylewają zebrane 24-godzin-
ne oszczędności. Otóż tak to właśnie jest.

A więc praca wre. Ruch. Za chwilę
transport — stamtąd. Sale są czyste,
sprzątnięte, okna lśniące. Wszystko czeka.
Na stolikach ustawia Hanka bukiety.
Jednakowe. Maki i jakaś biała, niepozorna,
a miła kaszka. Wszystko czeka.

Podjeżdżają sanitarki. Chorych na no-
sach transportują na 1-sze piętro. Przy-
mujemy — myjemy — układamy.

„Pan z 3-ej Dywizji — z którego ba-
talionu?”

„A co z tym, co z tamtym?”. — Pyta-
nia, niepokój, oczy zamglone, męka przeo-
gromna. Wybiegam na korytarz. „Dziew-
czyno, co ci jest? Jesteś blada jak ściana”.
— „Nic... nic — tylko zginał... ale ja zaraz
wrócę na salę”. — I wraca, uśmiecha się
do chorych: „A może pan napije się tro-
chę herbaty”. „Może nogę tak ułożymy”.
„Zaraz przyniosę proszek”.

Szpital rósł. Z tarasu szkoły widać było
duży ogród, pole, a najbliższej budynku
parę charakterystycznych, blaszanych bu-
dowli. Za tydzień — trudno poznać oko-
licę. Namioty, namioty. Jak kiedyś po-
wiedział Jurek — duże brązowe ciastka.

Transport. Ewakuacja chorych z 2-go
szpitala. Przyjmujemy. Nie wszystko. Tego
jeszcze w porządku. Nie wszystko. Tego

nie ma, tamtego brak. Jest ciężko. Na sio-
strę przypada 32-34 chorych. Korytarz jest
taki długi! I tyle, tyle razy trzeba go prze-
dreptać. Tam i z powrotem. Kamienne po-
sadzki. „Wiesz co Hanus — wymienimy
chyba dziś nogi w magazynie”.

„Siostró — już dziesiąta (22-a) proszę
już iść do domu — bo jutro robimy hunt
i nie wypuścimy na salę. Siostra pracuje ty-
dzień a tak zmierzniała”. „Nie podobnego.
Właśnie już idę”.

Wychodzi na korytarz. Uśmiech wydo-
byty już z „zapasów na czarną godzinę”
— uśmiech dla chorych — gaśnie. I sio-
stra staje się sobą. „Oni przecież nie mogli,
nie powinni wiedzieć, że beczalam dziś pół
nocy, że ten list był taki straszny”. Wraca
do namiotu. Bezsenność. Widma, majski
póśenne. Wszystkie oglądane rany, kikuty,
blizny, cierpieniami wykrzywione twarze
— śnią się teraz. I każdy z tych chorych
we śnie ma właśnie najdroższą twarz.
Zrywa się, przytomniejsze. Wie, że list z
C.M.F. Nr. X nie przyjdzie.

„Panie doktorze, ten nasz chory Ku-
rowski znów ma dzisiaj temperaturę. Bre-
dzi”. Lekarz patrzy przed siebie i mówi
wolno: „On nie będzie żył, siostró. Ma tyl-
ko dwadzieścia lat...”. Lekarz pracował 10
godzin na sali operacyjnej. I nie odepiał
jeszcze zupełnie. Jeszcze mu żal chłopaka
o wielkich zielonych oczach i zmierzwi-
onej czuprynie. Żal, smutek, rozpacz — to
są uczucia. Więc stać nas jeszcze na uczu-
cia. Ale, czy radość nie będzie nam już
obca?

„Siostra przeniesie dziś tego chorego na
salę 5-tą”. — „Panie pułkowniku, proszę o
pozostawienie tego chorego tu na sali”. —

„Będzie siostrze! Jej gdy ubędzie jeden ty-
śiąc chorych”. — „Tak, ale w ten sposób postaw-
iam sobie jedynie moją radość i za-
dowolenie z widoku tego chorego — cho-
rego beznadziejnie — powracającego do
życia”. Chory został. A dał choiżi sam i
uśmiecha się.

Ktoś kiedyś bardzo mądrze powiedział,
że praca pielęgniarska daje dużo zadowo-
lenia, ale zabija radość życia. I tak jest.
I tak jest wtedy, kiedy się w swojej pracy
wkłada całą duszę.

„O godz. 21-ej chory ma być wysłany na
dół — na salę operacyjną. Zdjęcie gipsu
i opatrunków”.

Chory nie wygląda. Ma wysoką temper-
aturę — jest niespokojny. Siostra pocie-
sza, układa, wysyła na salę operacyjną. A
całą noc toczy się walka, prawdziwa zma-
ganis z tą wściekłą siłą — śmiercią —
o życie.

Amputacja. — „Siostró — z tą jedną
nogą będę mógł chyba usiedzieć w czoł-
gu?”. Coś mnie dawi, uśmiecham się, żar-
tuję, pocieszam. Nie z litości — brzo Boże.
Przywiązuję się i kocham tych ludzi. A
oni cierpią.

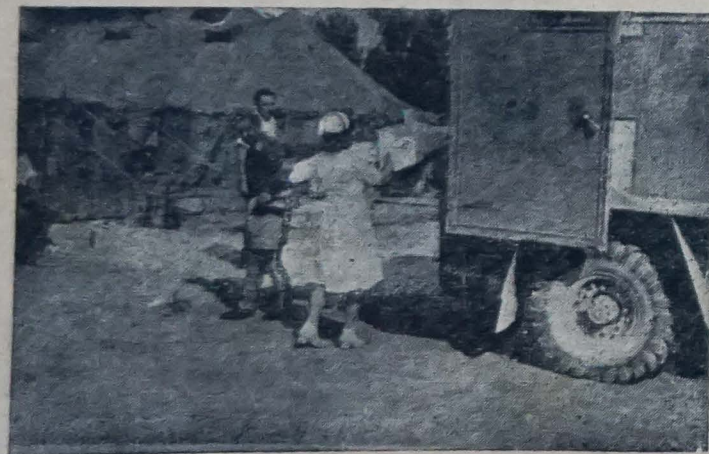
I znów nocie rozmyślenia: — „Ja mogę
pracować jeszcze więcej. Mogę się męczyć
i denerwować jeszcze 3 razy tyle. Tylko
Chryste — żeby to następne pokolenie —
tam, w Polsce nie przeżywało tego samego.”

O białych salach, o dobrym spojrzeniu
pochylonej nad umierającym siostry, o
rękach chirurga i o operacjach pisano już
przedemną tyłu ludzi znacznie lepiej.
Chciałam w tych kilku słowach dać szkie-
łeczną naszą pracę — na froncie wytrzymałości
psychicznej.

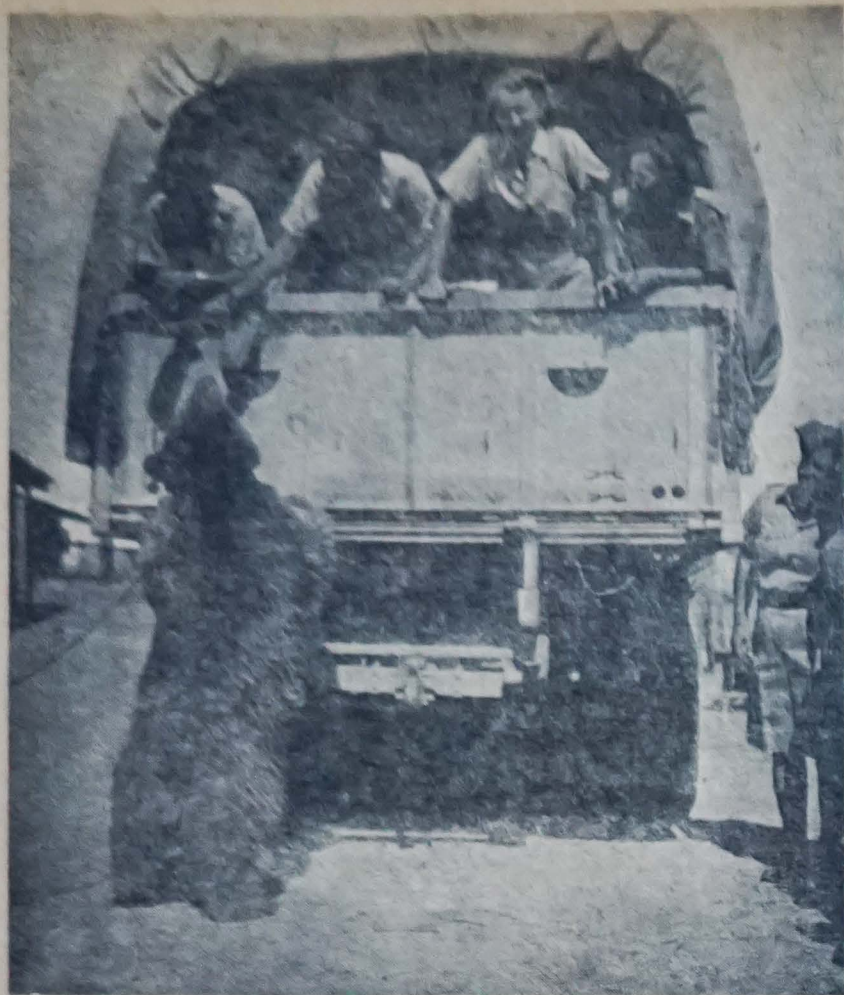
Krzyszyna Cato



Zawsze jest
przy nich



Wynoszenie
rannych
z sanitarki



Mis był stałym gościem

Od Kirkuku po Cassino

Pierwszego lipca 1943 roku na piaskach, parę km za miastem Kirkuk, powstawał nowy obóz. Wytyczono ileś tam metrów kwadratowych, ogrodzono drutem kolczastym i zaczęto stawiać namioty. Pociągi, przychodzące na stację, wyrzucały coraz to nowe grupy ochotniczek, które następnie łądowały się na samochody, aby dotrzeć na tak popularne w wojsku „nowe m.p.". Był to początek realizacji Kompanii Kantyn polowych i Bibliotek Ruchomych, najmłodszej ratorośli P.S.K., z którą, jak zwykle z benjaminkami, było mnóstwo kłopotu i nieszczyć. Ale posłuchajcie:

Właściwa geneza Kompanii Kantyn tkwiła w rozwiązaniu dywizyjnych kompanii P.S.K. Szkoda było przekreślić prawie dwuletni dorobek pracy świetliczarsko-kantyniarskiej w oddziałach i odejść wtedy, kiedy żołnierze musieli iść do walki. Za silny był nasz związek z żołnierzem, za dużo włożyliśmy serca i pracy w świetlice i kantyny, za mocno wrosłyśmy w życie oddziałów, by rezygnować. Wprawdzie trudno było być duże, ale proporcjonalnie do nich wzrastał nasz upór i, wbrew wszelkim przewidywaniom, zwyciężyłyśmy.

Kompania Kantyn powstała w składzie 5-ciu plutonów. Pierwszy, trzeci i czwarty po 15 zespołów kantynowych dla obu Dywizji i oddziałów pozadywizyjnych; dru-

gi — 10 zespołów dla broni pancernej piąty — pluton dowodzenia.

Zaczął się szkolenie — kurs motorowy, unitarny w zakresie rozszerzonym, świetlicowy i kantyniarski. Jak wytrzymałyśmy ten lipiec w irackiej pustyni, trudno, do prawdy, powiedzieć. Dopomagały nam mokrą prześcieradła i szlafroki, w które owijałyśmy się w czasie 7 - miu godzinnej przerwy tropikalnej. Rekordzistki — malaryczki, mające „na rozkładzie” po 12 i 13 ataków, nie były rzadkością. Na wykładach kursowych siłą powstrzymywałyśmy się, żeby nie usnąć, hamsin wiał codziennie z regularnością „czasu radia”, a o temperaturze nawet nie wspominamy, wiadomo zresztą, że przy 80 stopniach Celzjusza nie bardzo można myśleć.

Wbrew wszystkiemu jednak nie dałyśmy się. Świadczyły o tym uwijające się w tumanach piasków niesionych hamsinem na „oślej łączce” (trawa, oczywiście w sferze fantazji) nasze poczciwe, wiekowe Fordy, Dodge i inne Chevrolety, zgrzytające jeszcze czasami niemiłosiernie, zwłaszcza przy redukowaniu biegów. Świadczyły o tym wyniki na strzelnicy i ogniska urządzane przez poszczególnie plutony. I kiedy z początkiem sierpnia jechałyśmy długą kolumną do zielonej Palestyny, czułyśmy się tak jak stare wojsko, którego już żadne biedy nie zgnębia.

W Palestynie, po paradniowym odpoczynku, zaczęła się robota na dobre. Majamin z kursu motorowego, a tak jeszcze szwankowało to nieszczęsne garażowanie. Męczyła nas waga z bronią, a równocześnie zaczęły się rozszerzać jakieś niesamowite wieści. Te dokuczały nam więcej niż iracki hamsin. Bo czyż można pracować spokojnie jeżeli ktoś komuś powiedział, że podobno rozwiążą Kompanię Kantyn. I podczas, gdy my emocjonujemy się nowym sprzętem, który „napewno”, zaraz po skończeniu wyszkolenia ma nadejść; podczas, gdy zastanawiamy się, jakiej marki będą wozy i czy wymienia nam karabiny na Thomsony, nagle wynika nieoczekiwany problem: czy Kompania będzie czy nie.

W atmosferze ciągłej obawy o losy Kompanii żyłyśmy około 3 miesiące. W tym czasie przeszedł „straszny” egzamin motorowy, przeszły wielkie ćwiczenia Virile, w których debiutowałyśmy z powodzeniem i zaczęło się mówić o wyjeździe z Palestyny. Wtedy pękła bomba: Kompania „ze względu na swoją pleć” nie może iść na teren operacyjny, wobec czego nie ma racji bytu.

Po długich, licznych rozmowach, jakie prowadziła niezmordowanie ówczesna Komendantka Kompanii Kantyn, Płońska, z wszystkimi zainteresowanymi i decydującymi czynnikami, zgodzono się na wyjazd Kompanii, ale w stanie zmniejszonym. O tym, jak odchodziły nasze koleżanki, trudno pisać. Smutno było nam wszystkim, bo żyłyśmy się bardzo. Pocięsałyśmy się jednak niczym nieuzasadnioną nadzieją, że później Kompanię napewno powiększą. Tymczasem później, t.j. w Qassasin, zmniejszono Kompanię znowu do 1/3 już poprzednio zmniejszonego stanu. Zaczęły błędnie marzenia o pięknej pracy dla żołnierza na froncie. Zdawałyśmy sobie sprawę, że jest nas zbyt mało, byśmy mogły często docierać do wszystkich oddziałów.

Zdawałyśmy sobie również sprawę z tego, że na nas przede wszystkim spadnie niezadowolone żołnierza. Ale przed samym wyjazdem do Włoch nadąsane przeznaczenie rozjaśniło swoje oblicze. Otrzymałyśmy wozy! Wprawdzie nietypowe, wyposażone we wszystko kantyny, tylko zwkłe ciężarowe trzytonówki, ale to już było coś konkretnego — widomy znak istnienia Kompanii.

Załadowałyśmy więc te wozy i cały bagaż różnych wątpliwości wraz z naszymi osobami na statek i popłynęłyśmy do słonecznej Italii. Ponieważ wszystko sprzyjało się przeciw nam, więc i słoneczna Italia przyjęła nas bardzo zimno. Wydelikacowane upalnym klimatem Wschodu, kichałyśmy i kaszlały przez parę tygodni. W krótkim jednak czasie po przyjeździe, zaczęła się robota.

To, że miałyśmy otworzyć kantyny, nie mając tak potrzebnych garnków i innych szczegółów „wyposażenia bojowego”, było niczym wobec zadania rozdziału na cały Korpus artykułów NAAFI. Nie miałyśmy wykwalifikowanego i odpowiednio licznego personelu, a umiejętność i doświadczenie,

zdobyłyśmy, pracując po kilkanaście godzin na dobę. Dzienią ochotniczek przyjmowało, sprawdzało i rozdziało tygodniowo około 200 ton towaru na stołkadowe oddziały. Omyłki zdarzały się, ale nie wielkie. Okres tej dwuniesięczonej pracy zamknięto bez strat. To były pierwsze realne osiągnięcia.

Ale i kantyny nie dały się przekonać sekcji rozdziałowej. Każdy zespół może zanotować swój bohaterski okres, kiedy hydro (kuchnia Nr 1) była niedościgłym marzeniem, a kilkunastolitrowy garnek szczęściem. Żadna z nas nie zapomni pierwszej kantyny, otwartej w dużym gmachu Seminarium Duchownego, gdzie królowała Mitoszka. Duża sala, szybki wywietrzony, temperatura parę stopni poniżej zera, trochę ciemnowo, bo chociaż jest prąd trudno dostać żarówkę. Wszystkie cztery kantyniarki zmarznięte, zgrabiętymi palcami kroją ciasto i przygotowują kanapki. Historyczna już dzisiaj w Kompanii czarna Ada przynosi z kuchni wiadro kakao, które momentalnie stygnie. Patefon gra jakieś tango. Sala powoli się zapełnia. — I tak zapełniała się codzien przez parę tygodni. Kantyna dorobiła się piecyka, który początkowo kopcił niemiłosiernie, szef wmontował radio, zjawily się gazety, powiększył się komplet żarówek, a stałych bywalców trudno było wyprosić nawet po godzinie 21 - ej.

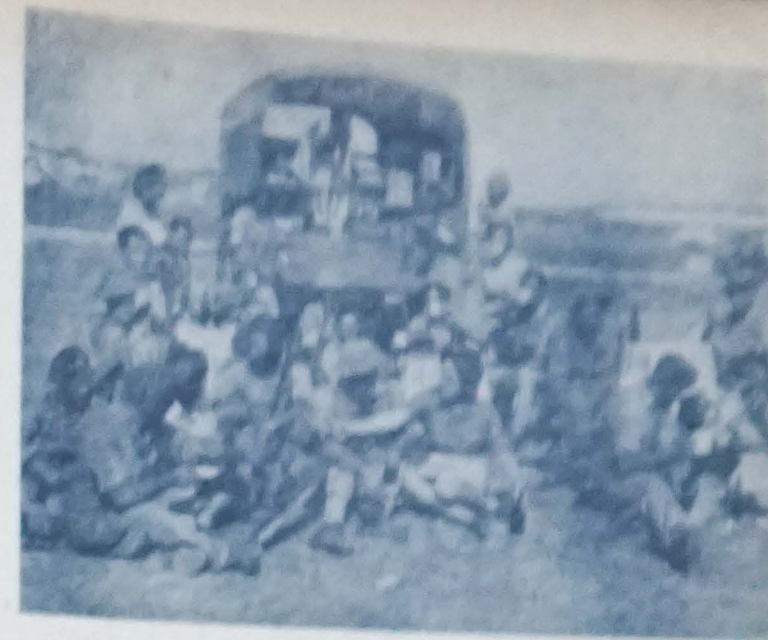
Tak zaczynał każdy zespół. Początkowe trudności zdawały się nie do pokonania, ale od czegoż własna inicjatywa. Zawsze też znalazły się czyjeś dobre i chętne ręce, które pomogły. W początkach naszej pracy spotykałyśmy się z powszechną życzliwością. Nie wierzone wprawdzie w pozytywne rezultaty naszych wysiłków, ale pomagano nam. Stosunek żołnierza do nas był i jest najmiłszy, bo koleżeński i opiekuńczy zarazem.

Po wielomiesięcznej pracy przyjaźń ta się pogłębiła. Więzy zadzierżgnięte w oddziałach, zacieśniły się w okresie walk o Cassino, kiedy pełniłyśmy służbę na punktach sanitarnych. I jest coraz lepiej. Uśmiechają się opalone twarze i podnoszą się w pozdrowieniu ręce do dziewczyny prowadzącej wóz, wiozący do kantyn pieczywo. Uśmiecha się nawet pod daszkiem okrągłej czapki żandarm, stojący na skrzyżowaniu dróg. Te uśmiechy, ta życzliwość, która nas otacza, to największa nagroda za trud dnia codziennego, za wieczne kantyniarskie zmartwienia: czy wystarczy i czy będzie na jutro?

Dużą naszą troską jest to, że jest nas zamało i że nie możemy wszędzie dotrzeć. Z tych samych względów musiałyśmy się wyrzec tak dobrze rozpoczętej pracy przy rozdziale NAAFI.

Marzeniem naszym jest, żeby nasz żołnierz na wszystkich drogach, którymi kroczy, mógł się w kantynie posilić, odpocząć, odetchnąć atmosferą domu.

Henryka Clupkówna



Kantyna na ćwiczeniach „Virile”

Jak zdobyłyśmy Karpacką Brygadę

Spotkanie

Wędrujemy z Brygadą Karpacką. Nasim czasem „świerki”, które nam na znak wiecznego przymierza ofiarowano i dawno już zapomnialiśmy te chwile, kiedy z lekką obawą i niepewnością przyjęcia — zajeżdżałyśmy obficie wyładowanym wozem do Kwatery Głównej Brygady.

Opowiadano nam ciągle, że „Karpatozycy” wcale nie objawiają entuzjazmu dla pracy kobiet w wojsku, że są uprzedzeni do kantyniarek. Otóż nieprawda. Wprawdzie, dumni ze swojej tobruckiej i libijskiej legendy, podkreślali, że wtedy nie mieli żadnego P.S.K., kantyn, świetlic, drajwerek, a jednak dawali sobie doskonale radę na wojnie. Ale tak długo tym się przechwalałi, dopóki... nie zmienili zdania.

Być może, że przede wszystkim zdobyły sobie powszechne uznanie nasze smakoliki, którymi codziennie zastawialiśmy bufet kantyny: wytworne, barwne kanapki z piklami, kakao, kawa gorąca, herbata, ciasto. Dla żołnierzy, którzy wojowali w tym czasie wśród zasp śnieżnych nad brzegami rzeki Sangro — był to nie tylko znakomity deser po „fasowanym” obiedzie lub kolacji, ale bardzo często naprawdę byli głodni i zziębnięci. Ponadto uzupełniłyśmy nasze zapasy mydła, wody kolońskiej, nici, papierosów, zapalniczek egipskich i tym do reszty pobiliśmy sceptyków.

Kiedy na koniec pojechaliśmy całym zespołem z gorącym kakao, ciastkami i innymi produktami wprost na frontowy oddział San Pietro — triumf nasz był zupełny. Każda z nas pragnęła zachować po sobie taką conajmniej jak Oleśka Bille-

wieczna w bitwie o Wolnostowice, kiedy to wśród wojska szepł się rozległ: „Gołona dla żołnierza”. Takich szepłów słyszeć nie słyszałyśmy, ale dostać do naszych uszu dużo innych wyrazów uznania dla „żołnierskiej” postawy.

W okresie krótkiego odpoczynku wojska pracowaliśmy przy 3-ech łonach, zamknąwszy ten pierwszy odcinek naszego „podboju”, przemiełłyśmy żołnierską, w której Stasia i Krysta brały czynny udział.

Próba

Wkrótce nadszedł czas próby. Brygada Karpacka wyruszyła pod Cassino. Nasz kazano rozbić namioty kantyn w przyfrontowym szpitalu. Trzeba było rozstać się z Brygadą. Nastaly ciężkie dni oczekiwania na wiadomości z linii frontu. Wkrótce pojawili się w szpitalu pierwsi ranni. Wśród nich byli i Karpatozycy z naszej Brygady. Należeli się przyznać, że jakkolwiek wyczo-cy znajdowali się pod naszą jednakową opieką, nie można było nie okazać nam nym z naszej Brygady większego zainteresowania. Przecież kabłego z nich zamyłyśmy. Ten z tego, ten z innego bonu, ten z łączności. A ten tak się uczeszył gdy nas zobaczył, że chciał zaraz wstać, choć był ciężko ranny. Tamten znowu brał udział z nami w rewii batalionowej i dlatego Stasia wolał: „O Inesso, o Inesso!”. Przynosiłyśmy im gorące i chłodne napoje, owoce, ciastka, a słabszym buliony.

Pracowałyśmy dzień i noc. Ranni przybywali, przynosili wiadomości o innych, bez przerwy mówili o bohaterstwie, ranach, śmierci, a łuku dział, o bunkrach i zasad-

kach. Trzeba było uspakajać, poddawać inne tematy. Czytaliśmy im książki, opowiadały zabawne rzeczy i dogadzały jak dzieciom. Pisali potem z dalszych szpitali do kolegów: „Żebyś Ty wiedział, jak one myły i karmiły — jak jestem twardego serca, lecz to mnie wzruszyło. Wszystkie je pamiętam doskonale; Wandeczka (ta najmniejsza) myła mi ręce, nóg nie pozwoliłem. Genia przeczytała mi rurkę w przestrzelonej krtani, ile ona miała współczucia w oczach, Kryśka wlewała mi przez lejek herbatę, a co najważniejsze Stasia obiecała mi całą butelkę piwa, ale potem, bo teraz to niemożliwe, doktor nie porwała.

Wróciłyśmy znowu do Brygady, która po zwycięskiej bitwie przeszła na krótki odpoczynek. Znowu zapełniła się kantyna, urządzona w starej oberży włoskiej, w małym górskim miasteczku. Teraz była już wiosna w pełni i na stolikach w kantynie zawsze stały świeże kwiaty. Zdarzało się, że kwiaty ginęły ze stolików, szybciej, niż więdły. Żołnierze wychodzili z kantyny z bukietami, chwając się potem z dumą, że otrzymali je od pań, co wprawdzie nie było zgodne z prawdą, ale sprawiało im to widocznie przyjemność. Dwie z nas w tym czasie jeździły po zakupy owoców i nowalii do Neapolu. Bufet był zastawiony poziomkami ze śmietanką, kwaśnym mlekiem, galaretkami i masą czereśni.

W pogoni za nieprzyjacielem

Brygada, po dwóch tygodniach wyczerpania, poszła w pościg za Niemcem. Kan-

tyna nasza sekundowała jej wytrwale. Przebijaliśmy się z naszym wozem od miasteczka do miasteczka, poprzez kolumny samochodowe wiozące benzynę i amunicję. Dziś mieszkamy w pałacu barona, zapomniawszy kompletnie o wczorajszym nawpół rozwalonym domku, na jutro mamy zarezerwowaną willę nad morzem, a pojutrze może znowu pod namiotami. Adriatyk o przecudnych zmiennych barwach kusi plażą, pienistą falą, namawia do kąpeli. Niestety, niewiele mamy czasu.

Trzeba przygotować się do „wypraw bojowych”. Jedziemy do wysuniętych batalionów z pieczywem, jajami skupowanymi w okolicy, papierosami i innymi drobiazgami. Chłopcy oprowadzają nas po ogrodach nadmorskich will, pokazując leje pocisków artyleryjskich, które „fest nas w nocy macały”.

Zmartwień i trosk jest wiele, ale jedna najważniejsza: jak tu zaspokoić tyłu żołnierzy? Nigdy nie wystarcza nam towaru. Stale trzeba więcej, więcej, więcej. Ubyła jednak jedna troska — nie potrzebujemy się już martwić, jak nas przyjmą. Wiemy napewno, że wszystkie karpackie uprzedzenia przysły już dawno. A teraz potrzeba tylko bułek, kanapek, pasztetów, ciastek jaknajwięcej. W pościgu apetyt jest kolosalny.

P.S.

Brygada Karpacka została zdobyta. Jeżeli ktoś uważa to za przechwałkę, niech przyjedzie do nas i sam się przekona.

Zespół Kantyniarek

CZYSTA POEZJA

Najtrzeźwiejsi ludzie nie ustrzegą się przed tym, żeby w związku ze swoimi dążeniami nie snuć na przyszłość projektów. Doprawdy — nikt jeszcze nie ustrzegł się przed „kolorowym marzeniem”. Ale taka już jest kolej rzeczy, że zrealizowane projekty okazują się szare. Dziś, kiedy nasze kantyniarskie marzenia stały się rzeczywistością, przyznam się, że w okresie długiego szkolenia, bałam się najbardziej — egzaminu życia naszej kompanii. I proszę sobie wyobrazić, że rzeczywistość okazała się conajmniej tak samo ładna i dobra a może nawet ładniejsza niż nasze marzenia.

Wkrótce po naszym przyjeździe na kontynent europejski, został uruchomiony aparat rozdzielczy NAAFI dla oddziałów i EFI dla kantonów, oraz 8 punktów kantonowych dla Korpusu. Nie chciałam, żeby to, co powiem o Kompanii Kantyn, wyglądało na hymny tryumfalne. Nie można jednak zataić, że pole pracy w związku z aparatem rozdzielczym było ogromne. Jakże często zdarzało się nam, zdarza i zdarzać będzie, że po długich mozolnych i nieudanych, próbach, dochodziłyśmy do odkrycia metody już dawno stosowanej. Krok po kroku zdobywałyśmy doświadczenie. Nic więc dziwnego, że często popełniałyśmy błędy.

Na szczęście błędy te nie były zbyt surowo osądzone. Nasi przełożeni doszli bowiem do przekonania, że pracę kobiet cechuje solidność, uczciwość i sumiennosc i wreszcie — co tu mówić — nawet taka prozaiczna praca, jak rozprowadzanie NAAFI do oddziałów, zyskała na poezji i uroku, kiedy dostała się w ręce kobiet. Przy pierwszym wydaniu towarów dla oddziałów Korpusu — (wstępem do tej pracy jest sporządzenie rozdzielników i rachunków, a cała ta robotka w rękach ochotniczek) do każdej porcji towarów była dołączona mała karteczka z taką prośbą:

„Otwórz skrzynkę, wyjmij towar
Potem skrzynkę skrzętnie schowaj.
Zamiast więzi pięknych róż,
Ty nam skrzynkę pustą złoż.
My ci wzamian miast serc bicia
I uśmiechów pełnych czaru,
Damy skrzynkę pełniutenką
Mydła, pasty etc. towaru...”

P(akujące) S(krzynnie) K(antyniarki)
To nasz kwatermistrz ruszył częstochowską poezją, jako że poza talentami gospodarczymi ma także i literackie.

Ze wszystkich stron nadesiano nie tylko skrzynki, ale wraz z nimi odpowiedzi, również wierszowane. Oto dwie z nich:

Wierszem się zachłystywałem,
W każdej z Was poetka siedzi.

Przyjmijcie więc nieudale
Rymy naszej odpowiedzi.

Odsyłamy puste skrzynie
Pastą i mydłem pachnące,
By w nich zanim tydzień minie
Zobaczyć coś dla... pragnących.

W górach zimno i śnieg syple,
Zdałoby się na rozgrzanie
Jako środek przeciw grypie
Trochę whisky — moje panie!

Latwiej człek przy butelczynie
Znosi trud i pracę w boju
I myślą jest przy dziewczynie,
Która przyśle mu napoje.

Szkoda, że nam tak skąpicie
Swych uśmiechów i serc bicia.
Nasze twarde, szare życie
Możnaby urozmaicać.

Pięknych róż Wam nie prześlemy,
Brak nam wszelkich wonnych kwiatów,
Bo tu kwitną tylko dymy
Min, szrapneli i granatów.

Za to ślemy pełne skrzynie
Podziękowań, słów uznania
I życzenie by „Kantynie”
Rosta chęć do... pakowania.

Jedno tylko zastrzeżenie:
Zamyślane, piękne główki
Zapewne przez roztargnienie
Za mydło — dały ołówki.

Pisać czasem — rzecz niezdrożna
List do Zosi czy Urszuli,
Ale tym, co pisać można,
— Nie wypierze się koszu!

*

Szczerze dzięki za pakunki
Mydła pasty i frasunki.
Sedno rzeczy nie w tym leży,
Że brak mydła dla żołnierzy.
Brak uśmiechów i brak czaru —
Tego nam brak, nie towaru.
Piękne są uśmiechy w liście,
Lecz piękniejsze osobiście.
Więc PELOTKA mocno wierzy
W przyjazd Polek do żołnierzy.
Darujemy całe NAAFI,
Jeśli która z Was tu trafi.

Już od 7-mej rano zdumieni angielscy żandarmi patrzą na wspinających się po stromych górskich serpentynach nasze ciężkie trzytonowe wozy, naładowane świeżym pieczywem i towarem. Minęły już czasy spokojnej jazdy po pustynnych drogach. Góry, zakręty, przepaście, szaleni kierowcy Amerykanie na swoich wielkich smokach, wąskie kruche mostki saperskie, mijające się kolumny — stwarzają doskonałe warunki do poprawienia klasy jazdy. I naprawdę ta klasa jest już niezła. Kompania dumna jest z tego, że dotychczas (tfu, tfu, na psa urok!) nie ma na swojej hipotece ani jednego wypadku, poza jednym zgłębionym błotnikiem.

Daleka jest trasa kantynowych wozów. Po krętych drogach, zniszczonych bombardowaniami, dojeżdżają do przyfrontowych włoskich miasteczek, gdzie w zrujnowanych i drżących od huków artyleryjskiego domach, czy już tylko ścianach domów — są nasze kantyny. Uśmiechają się przeje-

dający, kiedy niespodziewanie w zapałym włoskim miasteczku zjawia się nieprawdopodobny szyld: „Gospoda pod świerkiem” z dużą choinką na białym czerwonym polu. A w kantynie... kiedy się przez cały dzień w gorączkowym pośpiechu karmi przejeżdżające kolumny jadące z linii, czy na linię; kiedy się chłopcom na pozycjach posyła pieczywo i słodycze — wtedy się czuje wyraźnie, bez wątpliwości, że to trzeba, koniecznie trzeba i że dobrze

byłoby mieć nie dwie, ale i ręk do pracy. Praca w kantynie staje się bowiem z dnia na dzień trudniejsza. Coraz bliżej do kantyny jest już przy artyleryjskich pozycjach, coraz bardziej zrujnowane są miasteczka, w których się zatrzymujemy. Do ogłuszającego huków dział naszych i amerykańskich, kantyna i kantyniarki już się przyzwyczaiły. Zresztą dojeżdżamy do oddziałów, gdzie jest „gorąco”, naszymi

funkcyjnymi kantyniarzami. Kantyna funkcyjna niepełnowartościowa jest nie wartościowa, nie funkcyjna dostaje w stajni kantynie, więc nie funkcyjna. W witaniu jest z niedowartościwanymi. Naszy bowarów i ich długie lula lura lura także i w moich uszach jak melozysta pozaje. Ale to jest właśnie istota poezji naszej kantyniarskiej, naszemu wierszowi. To jest napewno „czyste poezje”.

S. L.

A jednak Zosia Terne miała rację *)

Pak, pak, pak... pak, pak — to artyleria nieprzyjacielska. Coraz częściej ją słychać, coraz bliżej padają pociski.

Rumm... uhm... mm — echo niesie po górach. To nasi. To lekka pelot. O, teraz ciężka, to duże działo zaraz za górką; Rumm... uhm... ummm, Jakoś spokojniej i pewniejsze samopoczucie, kiedy nasi wałają.

Pak, pak, pak — coraz częściej, bliżej. Aha, szukają naszych dział, wstrzeliwują się.

Właściwie najprzyjemniej byłoby siedzieć w dyzurce, ale kazali nam iść spać. Zbudzą z chwilą przyjazdu sanitarki. A tu do namiotu wdarł się niepokój i peza po kątach.

Nasza ciągle strzela — i lekka i ciężka. Ale „ich” pociski padają coraz gęściej i częściej. Nad namiotami daleki przytłumiony warkot motoru. Nęka tak co noc. Myśl pracuje szybko, wyobraźnia stwarza sytuacje tragiczne, niepokój wypęza z kąta namiotu, jest coraz bliżej łóżka... Nie dopuścić go do siebie. Przecież tam o kilka kilometrów dalej walczą nasi chłopcy, a ja miałabym dopuścić do siebie tę pezną gadzinę? Nie, nie chcę — nie chcę.

„Pod Twoją obronę ucie”... Rrruhm (to nasi, to nic) — „Pod Twoją”... Pak, pak, pak, — posypały się gdzieś blisko kamienie... pak, pak — Jezul!

Myśli pracują coraz szybciej. Medalik św. Krzysztofa jest? Czy go nie zgubiłam? Ręce gorączkowo szukają... Jest! Westchnienie ulgi. I poraz niewiem który: „Pod Twoją obronę uciekamy się”... pak, pak, pak, rrruhm — uhm...

Wpada ktoś do namiotu. Urywane słowa: „Do schronu! — pociski nieprzyjacielskie padają coraz bliżej”. Zniknął. Słyszę głos Staszki:

— Pani Hanko, chyba pójdziemy do tego schronu? A może nie warto?

— Jak pani uważa, Pani Stasiu.

Chwila ciszy w namiocie, poza namiotami deszcz pocisków.

— Słyszysz pani — odzywam się — padają na górkę za nami, po co niepotrzebnie narażać się.

— Ma pani rację, chodźmy.

Hełm jest, latarka elektryczna z niebieskim światłem, płaszcz na siebie (spaliłyśmy w ubraniach, w każdej chwili spodziewając

się napływu rannych), koc na ryke. Idziemy.

— Tydy, pod górę i na prawo. Wsuwamy się do schronu. Z dwu stron skała, pozostałe dwie ściany z kamieni, dach ułożony z belek. Dwa w odstępach ułożone na kamieniach drągi imitują ławkę.

Układamy się. Staszka na ziemi, ja na drążkach, staram się ułożyć jak najwygodniej. Nie wiele mam „podściółki” własnej, więc najlepiej umieścić kręgosłup w luce między dwoma drągami. Hełm pod głowę, latarka pod ręką. Zawijam się brzegami koca i jeszcze raz poprawiam stalową poduszkę — hełm.

Słyszę, że nasi ciągle „grają”. Martwo padają do bliżej, to dalej szwabskie pociski. Nagle... coś chrobocze za belkami tuż nad moją głową. Świecy latarką. Czysta. Gaszę światło. Chrobocze i to coraz bliżej.

— Pani Stasiu, słyszysz pani, coś chrobocze, co to może być?

— Zaraz, posłucham.

Rrruhm, uhm — pak, pak, pak... Chwila ciszy.

— Słyszę, mów Staszka.
— Co to może być?
— Co? — Może mysz...
— Uciekajmy do namiotu!
— Naturalnie!

Dziwięciu sekund nie trwało bojowa narada. Nie świecę latarki, chwyciłyśmy nasze kocy i hełmy i datymy susz ze schronu.

Pak, pak, pak, rrruhm, uhm — uhm... Blyski, huk, martwe padanie pocisków, grzechot zsypanych się kamieni.

Z ulgą odetchniętymy w namiocie na naszych łóżkach.

— Jak tu dobrze i bezpiecznie.

— Spijmy.

Zmęczone oczy zamykają się, czują jak przychodzi dobroczynny sen. Oddala się huk naszych dział, stojących tuż za górką — i jakoś już zupełnie nie straszne jest to ciągle pak, pak, pak...

Hanka Gabanśka

*)Kto był na rewii naszej Czołwicy w Pałestynie wie, dlaczego taki właśnie tytuł.



Na postoju kantyna jest obleżona

RADIOSTACJA P. S. K.

Jakże silnie bity nam serca, gdy w dniu 2 maja w Campobasso d-ca plutonu radio wyczytał nazwiska tych ochotników, które mają odejść z radiostacją pod Cassino. Koleżanki spoglądają na nas jak na wybranki losu, idziemy przeciw na front, pod słone i groźne Cassino, idziemy spełnić pierwsze zadanie bojowe plutonu.

Nadszedł ranek. Wyjeżdżamy żegnane przez dowódcę i wszystkie koleżanki. Nasza kierowczyni z niedostępną lalką przy sobie sprawia się doskonale w długiej kolumnie samochodów, naładowanych sprzętem wojennym. Dojeżdżamy pod wieczór do celu, małe miasteczko Venafro, otoczone wieńcem szpitali, kompanii transportowych, warsztatowych i cementarzy z poprzednich walk.

Komendant oraz komendantka zespołu żeńskiego przyjmują nas życzliwie. Z troskliwością ustawiamy radiostację, tak by miała otwartą przestrzeń w kierunkach korespondencji. Maskujemy ją olbrzymią siatką. Stawiamy namioty, wprowadzamy nasze graty i graciki, do improwizowanych wazonów wkładamy kwiaty. To nie kokieteria, to tylko wewnętrzna chęć przebywania w miłym dla oka otoczeniu.

Interesujemy się żywo frontem. Odgłosy walk dochodzą do nas dokładnie. Stanowiska ciężkiej artylerii są wcale niedaleko od nas. „Tubyłcy”, to jest żołnierze znajdujący się na miejscu od paru dni, przestrzegają nas przed schodzeniem z dróg i ścieżek. Zbocza gór są usiane minami i niewypałami z poprzednich walk. Szkoda — tak by się chciało wyjść na pobliską górę, spojrzeć na sławny klasztor Cassino, a w drodze powrotnej narwać pachnących polnych kwiatów — jak niegdyś, w Polsce, na wycieczce za miasto.

W życie nasze wkraczają szybko nowe emocje. Trzeciej czy czwartej nocy budzi nas silny warkot motorów lotniczych. — „To nasze” — odzywa się z ciemności głos jednej z koleżanek. Jakby dla zaprzeczenia w sekundę potem podrywa nas z resztek snu huk dział przeciwlotniczych. Co prawda w pierwszej chwili — my niedoświadczony bojowo — nie rozróżniamy, czy to huk bomb, czy wystrzałów armatnich. Okazało się potem, że to jedno i drugie.

Odruchowo każda z nas naciąga koc na głowę, bo kiedyś ktoś nam powiedział, że to chroni przed odłamkami, i udajemy, że śpimy. Słychać wołanie służbowego: „Alarm lotniczy — nalot!”, co swoją bezużytecznością absorbuje nieco nasze napięte nerwy.

Dopiero rano rozpoczęły się dyskusje, „omawianie” wydarzeń minionej nocy. Ze zdumieniem zobaczyliśmy, że wszystkie namioty stoją, miasteczko nienaruszone, bomby upadły szczęśliwie na puste pola. Nie warto było się bać.

Godzina 23-cia. Huk setek dział wywabia nas z namiotów. Co za cudny, a zarazem przerażający w swej groźbie widok. Niebo pali się od błysku wystrzałów, a da-

leko po nieprzyjacielskiej stronie na ziemi wybuchają w coraz to nowych punktach wulkany ognia. Huk dział zlewa się w jeden nieprzerwany grzmot. Mimo to, że ta ulewa ognia i żelaza spada na naszych wrogów, nam kobietom, a może i mężczyznom, robi się jakoś nieswojo na sercu. Ale tylko na moment, bo zaraz uprzymiarniamy sobie, że chwila natarcia na Cassino się zbliża i że każdy pocisk idący na wroga, ułatwi naszym braciom ich walkę o Polskę i ułatwi im zwycięstwo. W tej wielkiej niezapomnianej chwili, zjawia się między nami ks. biskup Gawlina. Jakżeś kojąco działa na nasze nerwy, spokój i powaga tego żołnierza — dostojnika kościoła. Spokój opanowuje wszystkich i te, które mają mężów czy braci idących teraz właśnie w bój, i te, które nikogo z najbliższych tu nie mają, ale uważają wszystkich żołnierzy polskich za swych braci. O godzinie 2-giej w nocy msza św. odprawiona przez ks. biskupa na intencję walczących. Całą duszę wkładamy w modlitwę o zachowanie przy życiu naszych żołnierzy i błagamy Boga o zwycięstwo dla Oręża Polskiego. Mało która z nas spała tej nocy. Już i radiotelegramy nadeszły, już trzeba było pracować.

Rano szukamy wiadomości o tym, co się dzieje na polu bitwy. Wiadomości, jak zwykle w takich wypadkach, dość chaotyczne. Jedne budzą w nas szaloną radość, że zwycięstwo już odniesione, inne pogrążają nas w smutku wieściami o stratach.

Przed południem w rejon zakwaterowania nadjeżdżają pierwsze ambulanse sanitarne. Coraz więcej ich nadchodzi, z wnętrza każdego samochodu wynoszą rannych. Niektórych kierują wprost na salę operacyjną, inni na noszach zalegają izbę przyjęć.

Radiostacja ma przerwę w pracy, a właśnie teraz odczuwamy potrzebę jak najintensywniejszej pracy. Komendant przychodzi z propozycją pomagania w przygotowaniu opatrunków. Przyjmujemy to jak błogosławieństwo.

Pod wieczór na krótką chwilę zagląda do nas jeden z naszych dowódców. Przynosi wiadomości. Dzielna nasza piechota wsparta artylerią i czołgami zadała nieprzyjacielowi ciężki cios. Sławne na cały świat umocnienia wzgórz, broniących Monte Cassino, zostały przełamane i nieprzyjaciel poniosł bardzo ciężkie straty w ludziach i sprzęcie, a cały jego system obrony został silnie nadwierzony. Dzięki temu i sąsiedni brytyjski korpus mógł przekroczyć rzekę Lirę i pójść dość daleko naprzód.

Radiostacja znów podjęła pracę o nakazanej godzinie. Pracujemy z otuchą i w dobrym nastroju, lecz w miarę jak upływają godziny nocne, znów trwoga o naszych najbliższych, żal za tymi drogimi, choć nieznanymi, co poległ pod Widmem, powraca uporczywie poprzez wszystkie rzędy szyfrów, poprzez słuchawki radiotelegrafistek. Idą w świat szeregi cyfr, niosących wiadomości o zmarłych, o rannych, o transportach

sanitarnych, o transportach żywności i t. d. Teraz praca pochłania nas tak silnie, że nie czujemy już zmęczenia i dnia pełnego silnych bolesnych wrażeń.

Tak upływają dni od 13-go do 17-go maja. Noce są już spokojniejsze. Lotnicy nieprzyjacielscy zbyt dużo mają pracy na linii walki, a może i lotniska ich strzepali porządnie nasz lotnicy. Nie znaczy to, by radostacja, nasze sąsiadki i sąsiedzi mogli spać mocnym, młodzieńczym snem. Nerwy wyostrzone nalotami reagowały na każdy podejrzan warkot, to też gdy motocyklista w nocy się przybliżał, przywołując radiotelegram do nadania, dyżurna szyfrantka budziła się natychmiast. A pewno często obobzu nadstawiała ucha, czy to nie lotnik? Warkot motocykla jest przecież tak podobny do szumu motoru lotniczego. Zastanawiające przy tym, że huk wystrzałów armatnich nas nie budził. Pracujemy dzień za dniem i poprostu fizycznie czujemy, jak nerwy nasze się wyprostowują, uspokajają. Wiemy, że walka naszych żołnierzy nie poszła na marne i coraz większa otucha wchodzi w nasze serca.

Nadchodzą wreszcie dwa ostatnie dni, dwa wielkie dni. Oficjalnie nic nam nie było wiadomo, że zbliża się dzień 2-go i decydującego natarcia. Ale duża ilość korespondencji na radiostacji, pośpieszne ewakuowanie rannych i wreszcie ta trudna do określenia, ale wyraźnie wyczuwalna szóstym zmysłem atmosfera napięcia, mówiły nam, że „coś” się stanie...

Nadszedł ranek 17 maja. Nieprzerwany grzmot działał od godziny 7-mej uświadamia nas, że natarcie podjęto. Tym razem jednak jakoś rażniej nam na sercu. Pracy na radiostacji znów dużo, więc pośpiesznie nadchodzi szybko.

Ale oto nadjeżdżają ambulanse sanitarne. Z drżeniem staramy się odgadnąć, czy jest ich więcej, czy mniej niż 12 maja... Naprawdę mniej. Dochodzą nas pierwsze wiadomości: nasi na froncie poszli daleko w głąb pozycji niemieckich, nieprzyjaciel nie jest w stanie utrzymać się dłużej, jak przez tę noc.

Wiadomość o zwycięstwie, o zatknięciu sztandaru polskiego na Monte Cassino doszła nas natychmiast. Praca na radiostacji czy w szyfrach wydała się nam w tym dniu czymś nieopisanie pięknym i radosnym.

Anna Sztyborska

**KOLEŻANKI,
czytajcie
i rozpowszechniajcie
Wasze pismo:
„Ochotniczka”**

Praca Polek w Rzymie

Po wybuchu wojny między państwami sojuszniczymi a Włochami, sytuacja kolonii polskiej w Rzymie zmieniła się bardzo. Ambasada przy Kwirynale wyjechała, a Ambasada przy Stolicy Apostolskiej przeniosła się na teren Państwa Watykańskiego.

Jedyną placówką polską był Polski Czerwony Krzyż, tolerowany przez władze faszystowskie. Od początku wojny rozłożył opiekę nad jeńcami, uchodźcami z Polski zamkniętymi w obozach i nad niewielką grupą kolonii polskiej.

Część Polaków i Polek przygarnęły klasztory, a część przebywających już tu przed wojną, pozostała przeważnie w swoich pokojach umeblowanych, prywatnie.

Życie kolonii zamario prawie zupełnie, gdyż bardzo łatwo było się narazić na obóz, a zresztą pracy nikt nie miał, więc jeżeli się spotykano, — a miejscem spotkań był Czerwony Krzyż, w którym jedynie była robota, to tematem była tragedia Kraju. Wiadomości nadchodziły skąpo.

Najtrudniejsze chwile zaczęły się jednak, kiedy nastąpiła okupacja niemiecka, bo czuwało już oko niemieckie. Ale właśnie w tym okresie zaczęła się praca konspiracyjna, naturalnie w małych ramach. Powstały więc tajne kursy dokształcające dla młodzieży. Rozpoczęła działać poczta sekretna, na którą z takim utęsknieniem wiele osób czekało. Poczta pantoflowa również działała składowo. Najświeższe wiadomości radiowe z Londynu były dostarczane strapionym i oczekującym sercom i uszom.

Ale najważniejszą działalnością podziemną stworzył przypadek. Pewnego dnia kilka panienek, mieszkających w klasztorze, spotkało na ulicy chłopców, rozmawiających po polsku. Zaciekawione, zatrzymały ich, wypytując, się, skąd się tu wzięli. W krótkich słowach opowiedzieli swoje koleje. Omówiono więc nazajutrz miejsce spotkania. Po powrocie do klasztoru, opowiedziano przygodę Matce Przełożonej i zabrano się natychmiast do akcji. Wystarano się przede wszystkim o ubrania cywilne, żeby chłopcy mogli się przebrać, a następnie należało ich ukryć w klasztorach lub prywatnie. Zamiar był zaraz wprowadzony w czyn. Stopniowo zebrało się około 70 chłopców od lat 15 do dwudziestu kilka. Kobiety odegrały czynną rolę w tej robocie podziemnej. Trzeba dla niektórych chłopców znaleźć prywatne „locum”, i tutaj bardzo przyjacielsko zachował się lud rzymski. W dzielnicach robotniczych dano schronienie polskim chłopcom.

Teraz należało pomyśleć o wyżywieniu gromadki. Ci, którzy dostali się do klasztoru, byli pod opieką księży, ale reszta nie mogła wychodzić z domu i należało im przywozić jedzenie.

Przyszli żołnierze musieli być silni i zdrowi. Zakupioną żywność składowano w klasztorach, a dopiero siłą roznoszono, gdzie należało. Wędrowały więc panienki z walizkami, wypełnionymi żywnością do karmienia. A kiedy liczba chłopców wrosła, walizeczki zamienily się w walizki. Ale robota szła dobrze.

Przy w wyszukiwaniu mieszkań, co było najtrudniejsze, wzięła „panna Zosia”, nie taka z „Pana Tadeusza”, co to miała jasne i pogodne życie i karmila kurki i kacuszki, a na którą rozkochanym wzrokiem patrzył Tadeusz, — ale Zosia zahartowana ciężkim życiem, od kilku lat walcząca o kawałek chleba. I zajęła się „Panna Zosia” ukrywaniem chłopców i karmieniem nie drobiu, ale przyszłych żołnierzy.

PANI ZOFIA

Wielu uchodźców polskich przesunęło się przez stolicę Italii. W początku r. 1940 setki i setki braci z Kraju przeciągano łody, zatrzymując się krócej lub dłużej w Wietrym mieście. Jechali dalej w świat. Wielu jednak, zmuszonych rozmaitymi okolicznościami, pozostało tu przez cały czas wojny.

Kiedy pani Zofia Dymaszyna, po wywazczeniu jej z majątku rodzinnego w Kraju, przybyła do Rzymu z dwoma walizkami, które Niemcy wspaniałomyślnie pozwolili jej spakować w ciągu jednej godziny — i zamieszkała u siostry swej p. Kerbedziowej, osiadłej tu od wielu lat — natychmiast rozpoczęła swoją pracę opiekuńczą nad rodakami. Najpierw więc w Polskim Czerwonym Krzyżu, który jeszcze w okresie przed przystąpieniem Włoch do wojny, wysyłał codziennie po kilkadziesiąt a nawet kilkaset paczek dla naszych jeńców w Niemczech. Kiedy potem wysyłanie paczek natrafiało na coraz większe trudności ze strony władz niemieckich, działalność p. Zofii zwróciła się w innym kierunku. Zaczęła ona organizować czynną pomoc dla napływającej coraz to nowej fali uchodźców — z Rumunii, Węgier, Jugosławii i t. d. Bo wszyscy, którzy przedostawali się tu, przedzierając się przez granicę, nie posiadali dostojnie nie prócz marnej odzieży na sobie.

Rozpoczęła więc p. Zofia pośpieszne zbieranie odzieży wśród swych włoskich przyjaciół. Bo zima w słonecznej Italii może być bardzo kapryśna i złośliwa i dać się gorzej we znaki niż zima w Kraju. Następnie, chcąc dostarczyć pracy zarobkowej, przede wszystkim naszym kobietom, z funduszu zbieranego na ten cel zakupuje materiały lniane i bawełniane, organizuje kilkutygodniowe kursy szycia, krawiec-

Nie chodziło o parę razy lub kilkakrotnie, które zostały nad chłopcami. Nie było to w pewnym sensie, który stał się jako szczyt w życiu większego niebezpieczeństwa. Bo gdy Gestapo zaczęło szukać wysp, chłopcy wydawali się im niebezpieczni. Wtedy zaczęli się ukrywać, a dwaj bracia, którzy byli z narzekaniem życia posnagali. Inny znów razmian stoczyć klasztor karmelitański, który był zainteresowana wynoszeniem i wnoszeniem walizkami i paczkami. Chłopcy sławili wtedy samą przesiadkę po prowianty.

Paru nawet zatrudniano, nie tylko niektórych wypuszczano, a także uwolniono, kiedy weszli Aljanci do Rzymu. Zaczęła „wszystko dobrze, co się dobrze kończy”.

Kiedy sprzymierzone wojska były już w Rzymie, chłopcy stawili się do ogona i poszli do wojska.

A kobiety, jako ochotniczki zgłosiły się do P.S.W.K., aby wypełnić swój obywatelski obowiązek.

Halina Mirecha

Dziesiątki, takich wypadków przytoczyć by można, gdzie tylko żądzi staraniom i pielęgnowaniu p. Zofii, chorzy przyszedli do zdrowia, a upadli na duchu odzyskali nowo energię do życia. Pani Zofia, sama porbawiona wszystkiego, dzieli się z potrzebującymi rodakami „ostatnim kyskiem”, oddaje choremu swoje ostatnie zapasy herbaty, czy oliwy.

Opieką swą otacza nie tylko uchodźców w Rzymie, lecz także i rodaków przebywających w obozach koncentracyjnych czy internowanych. Wysyła im paczki żywnościowe i odzieżowe oraz zasłki pieniężne. Prowadzi z nimi korespondencję. Posyła im paczki świąteczne z opłatkiem. Przygotowywała zresztą trzykrotnie pod

choinkę, urządzoną dla uchodźców polskich przez jeden z żeńskich zakonów — dziesiątki paczek bakali domowej roboty i drobnych podarków.

A kiedy aresztowano kogoś z grona uchodźców, p. Zofia używała wszystkich dróg i sposobów celem zwolnienia aresztowanego. Nie bała się czujnego oka niemieckiego Gestapo, czy też policji faszystowskiej. Działała zawsze odważnie, a bez najmniejszego rozgłosu i uratowała dziesiątki naszych uchodźców. Niechajże tych skromnych kilka słów będzie wyrazem wdzięczności tych wszystkich, którzy korzystali z pomocy i dobroci pani Zofii Dymaszyny.

M. M.

RENDEZ-VOUS

Osoby: ON
ONA

Rosejrzał się wokół, otarł pot z czoła, zdjął z pleców tobołek i usiadł. Ubranie dawniej porządne, teraz zniszczone, nogawki owiązane sznurkiem. Patrzy na zegarek, gdy mija go — ubrana jak podmiejska dziewczyna — ONA.

ON: Co?! Mary? Jezus Maria... Prędzej spodziewałbym się...

ONA: Zyg! Boże! Co pan tu robi?

ON: Pani do Piwnicznej?

ONA: Tak. Skupuję po wsiach masło, ser, mąkę i wożę do Krakowa, żeby jakoś żyć. Pan także do Piwnicznej?

ON: Nie... Ja w przeciwną stronę... Niech pani siądzie na chwilę.

ONA: Ja... spieszę się na pociąg...

ON: Ja także. Ale na chwileczkę.

ONA: A co Pana tu sprowadziło?

ON: Handluję wełną. Skupuję u gazdów i wożę do Warszawy. Na tem można zarobić.

ONA: Mój Boże! Co za czasy... Pan zawsze świetnie ubrany, wytworny...

ON: I urocza pani Mary, królowa salonów...

ONA: A spotykamy się tutaj — brudni, z toboikami na plecach, w lesie, w górach, na odludziu. Gdyby nam kto rok temu powiedział...

Usiedli na swoich tobołkach.

ON: Rok temu! Pamięta pani nasze bridge?

ONA: Albo pokery w klubie, dancingi w Adrii...

ON: Pijaństwa... Rzadko wracało się do domu przed świtem.

ONA: Potem popołudniu jakiś fryzjer, krawcowa, parę sprawunczków i znowu kawiarnia, kolacyjka, teatr albo kabaret, karty i znowu Adria... Niech pan nie patrzy na moje ręce.

ON: O Boże... To ta cudna, wypieszczona rączka pani Mary...

ONA: Co z niej zostało! (roześmiała się) — E! Jeżeli nie chciał jej pan wtedy, kiedy była wypielęgnowana, to dziś, jak nie ma kremu ani zwykłego pudru...

ON: Niech pani zaśpiewa coś z tych czasów...

ONA: Właściwie już... (spojrzała na zegarek).

ON: Ja także... także się spieszę, ale przynajmniej... „Pensylwanię”!

Zanuciła.

Potem poszło „Wspomnij mnie”, a potem jeszcze coś równie miłutkiego i głupiutkiego.

ONA: Smutno się zrobiło? (Zauważyła, że dziwne spowzniał). Czy też kiedy jeszcze wrócić te czasy... Myśli pan, że nigdy?

ON: Nigdy. I nie powinny.

ONA: Dlaczego?

ON: Opowiadali mi tu wczoraj o staroście, który w czasie wojny zostawił wszystko i uciekł za granicę. Zapytałem, co z nim zrobią, jak wróci. Za to że uciekł — odpowiedział mi stary gazda — nie, bo wtedy nikt nie wiedział, co się dzieje. Ale jeżeli wróci taki sam, jak uciekł — powiedział — to nie będzie dla niego miejsca w starostwie. Póki nie nauczy się, że on jest dla prostych ludzi a nie ludzie dla niego, nie będzie miejsca dla niego ani tutaj ani w całej Polsce. Tak, pani Mary... Nie będzie miejsca na panią... i na mnie, takiego jakim byłem.

ONA: Wszystkiego spodziewałam się po panu, ale nie takich refleksji.

ON: Ani na te czasy kremów i pudru, za którymi pani tęskni.

ONA: A nie chciałby pan pamiętać o swoich rachunczkach w Adrii? Napiwki po dwadzieścia złotych, którymi chciał mi pan imponować?

ON: Więć dzięki Bogu, że nie wrócą czasy rozbawionych dam, wypieszczonych rączek i tego życia pasażerów... którego celem była wieczna zabawa, a praca istniała tylko po to, żeby było za co bawić się.

ONA: Ale pan sam jeszcze gorsze życie prowadził!

ON: Dziś mam do niego wstręt i robię co mogę, żeby...

ONA: A coż pan robi, drogi panie Zyg! Handluję wełną, żeby zarobić na życie, tak jak ja masłem.

ON: Robię i inne rzeczy... I są kobiety, złota pani Mary, które też robią inne rzeczy. Niech się pani ironicznie nie uśmie-

cha, bo kobiety podejmują się najcięższych prac!

ONA: E!...

ON: Chodzą przez granicę z materiałami, za które bez sądu kula w lebi!

ONA: I coż takiego!

ON: Coż takiego?! Przez Słowację na Węgry i z Węgier do Polski, choć wiedza, że trzy, cztery, pięć razy uda się to, ale gorszym od śmierci i śmierci... która jest wybawieniem. Dla takich ludzi, będzie w Polsce miejsce, a nie dla...

Zdnerwowany chciał zapalić. Z paczką papierosów wyjął z kieszeni kawałek — zielonego sznurka.

ONA: O!

ON: Co?

ONA: Co to?

ON: Gdzieś dostałem — (spojrzył na zegarek). Tak... Na mnie już czas. Przepraszam, że uniosłem się, ale znowu... jedna taka nie przeszła...

ONA: O... Kurierka?

ON: Nie ma jej, a spóźnienie było kluczowe. Więć widocznie wpadła.

ONA: Kto to był?

ON: Z czegoż się pani śmieje? Ja czapkę bym przed nią...

Bawiąc się, wyjęła z kieszeni — zielony sznurek. Nie wierzył własnym oczom.

ON: Jezus Maria!...

ONA: Ja śmieję się, bo przesadza pan. Ja szósty raz już idę i znowu udało się.

ON: Dostałem rozkaz, żeby czekać tu do trzeciej, ale nie wiedziałem, że na panią... Sliczna Mary dźwiga to na plecach z Węgier...

Odebrał od niej stację nadawczą i schował pod wełnę, w swoim tobołku.

ONA: Ja miałam o trzeciej zdać „towar” łącznikowi i wściekła byłam, że mi pan przeskadza.

ON: Dlatego to z wypieszczonych łapek pustej lalki zrobili się spracowane ręce człowieka. — (Z szacunkiem ucałował jej). — Wolę takie.

ONA: Ja także! Nikt mnie nie podejrzewa, jak wałę, przez Słowację. A jeszcze jak zarzucę chustkę na szyję i zaśpiewam:

ON: Wspaniale!

ONA: Ale po panu poznać na miłą inteligenta z miasta.

ON: Ja mam coś lepszego! — (Wyjął legitymację „Volksdeutscha” i na ramię założył opaskę ze swastyką). — Proszę! Niech mi co zrobią!

ONA: Niech pan zdejmie to świństwo. Teraz możemy pogadać i nie udawać, że się gdzie spieszymy. Niech mi pan powie... Co w Warszawie?... Co w teatrach, co mądrego, co się nosi?

ON: Nosi się drewniane sandały, w „Polskim” grają Niemcy, a modna jest teraz taka smutna piosenka. — (Zanucił):

„Żołnierz polski, obrońca Warszawy,
„W grobie wspólnym się zbudził ze snu,
„ — Dziś rocznica —
więć otarł pył krwawy
„I zacerpnął w pierś przebitą tchu.
„Potem braciom poległym w stolicy
„Żołnierz polski taki raport zdał:
„Polska żyje. Na każdej ulicy,
„W każdym domu bój o Polskę trwa”
Antoni Cwojdzinski

Smutna Historia

Miasteczko apulijskie, na szczycie wzgórza ma swoje legendy i swoje stare kościoły, wąskie uliczki symetrycznie skierowane na wszystkie strony świata. Ma strone ścieżki, wiodące do szosy, albo do wyście-lających się białych dróg po dolinie między fermami, sadami oliwnymi, polami. Kiedy pod wieczór stanąć przy murze, widać rozległy kraj, nieco sfalowany, przybrany wszystkimi odcieniami zieleni. Czasem mgła skraca widok, a czasem oczyszczona atmosfera, lśniłca w zachodzącym słońcu, ujawnia daleki zarys gór i rzeźbi wyraźnie port, dzielony długim językiem łądu na dwie zatoki. Cicho przypomina się wtedy — Hel. Bo wszędzie, gdzie jesteśmy, wszystko, na co patrzymy, musi wytrzymać skalę porównawczą naszej pamięci, i naszej tęsknoty. Włęcz nawet morze, choć mieliśmy go tak mało, więc drzewo rzucone samotnie na łan pszenicy. Myślmy: Hel. A drzewo oliwne przypomina dżik gruszę. Szukamy tych podobieństw i szukamy śladów Polski wszędzie, gdzie zatrzymujemy się na postój. — Czy są tu jakieś polonice? Czy mieszkają Polacy? Czy może kiedyś tu mieszkali i leżą już tylko na cmentarzu?

Młody Paolo zna Polaków, więc nawet nie pytany, oznajmia: — Przed kilkunastu laty mieszkała tu w M. córka króla Poniatowskiego. Ah — dziwi się — król umarł bezpotomnie? A jednak panią tę znała moja kuzynka i są tu ludzie, którzy dużo o niej mogliby powiedzieć. — O tej „córce królewskiej” dowiadują się i inni Polacy. Por. D. od swojej sąsiadki, nauczycielki, dostał numer kobiecego pisma włoskiego „Cordelia” z datą: wrzesień 1937. W roku tym nie było jeszcze wojny na świecie i Duce rządził w Italii, niecąc ambicje mocarstwowe nawet w krzykliwych „bambinach”, tworząc z nich nieomal bojowe „Balilla”. Pismo kobiece („La donna nella vita e nella casa”) — choć kobiety w faszystowskim systemie nie miały możliwości do rozwijania własnej inicjatywy społecznej — wychodziło na pięknym satynowanym papierze i interesowało się wieloma sprawami estetycznymi, kulturalnymi. Więć też i artykuł p.t. „Pieśni pewnego poety francuskiego do pewnej pani floreckiej” (I canti di un poeta francese per una dama fiorentina). Ta dama florentyńska — to właśnie owa córka „ostatniego z Poniatowskich”.

Nie należy się dziwić, że autorka artykułu zabląkała się w wywodzie rodowym markizy Caroliny Geofilo. Coś tam jednak było na rzeczy i markiza Carolina była naprawdę po ojcu Polką. A raczej krwi polskiej. Ojcem był jakiś Karol Poniatowski, emigrant. Pod przybranym nazwiskiem księcia Monterotondo (znaczenie nazwiska symboliczne i naprawdę chyba emigranckie, bo znaczy: okrągła ziemia), piękny i wytworny, stał się ozdobą salonów florenckich. Autorka artykułu informuje: „Był tacy, którzy uważali go za

prawdziwego ojca owej hrabiny di Castiglione, Virginii Oldoni, którą Cavour postawił jako swoją powierniczką i postanką w układach dyplomatycznych z Napoleonem III i która podczas drugiego cesarstwa była „boską hrabiną” w Tuilleriach i niebezpieczną rywalką cesarzowej Eugeni de Montijo...”

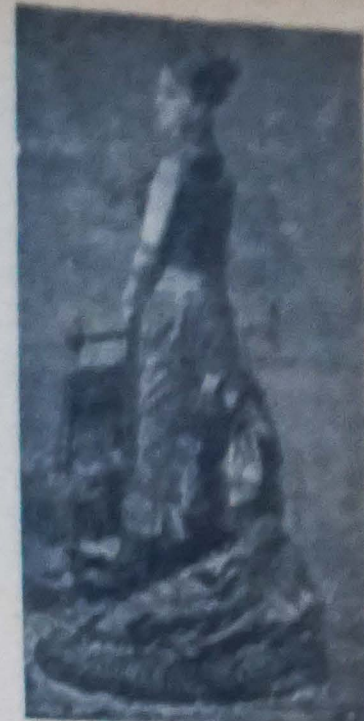
Karol Poniatowski zakochał się w pięknej neapolitance Luizie Rossi, która dała życie Karolinie. Dziewczynka otrzymała „książęce wychowanie”, kształcono jej talenty muzyczne i malarskie, otaczano ją zbytkiem. Miała 17 lat gdy wyszła za mąż za markiza Mikołaja Geofilo z Latiano (w Brindisi), apulijskiego magnata, zajmującego wysokie stanowisko w rządzie tuskaskim.

Jeszcze dom Savoia nie zjednoczył Włoch, ale Cavour działał skryżynie aby pozyskał Napoleona III dla swojej wielkiej idei polityczno-państwowej. Kiedy więc w podróży poślubnej państwo Geofilo udali się do Paryża na zaproszenie hrabiny Walewskiej — Anny Maril dei Ricci z domu, więc Włoszki — należało ich pobyt w Paryżu wyzyskać. Hr. Aleksander Walewski był wówczas ministrem spraw zagranicznych we Francji i nosił nazwisko kobiety najbardziej kochanej przez Wielkiego Cesarza, Napoleona I.

Ciągle tu jakoś plątało się to polskie pochodzenie, niepotrzebnie, dla egzotyki chyba. A był to czas Styczeńowego Powstania, nadziel podkładanej w Napoleonie III, zwodnych nadziej w pomoc dyplomacji Zachodu. Carolina Geofilo chwyciła się swoim polsko-książęcym pochodzeniem, nie jednak nie wiedząc o polskich, krwawych sprawach. W salonach hr. Walewskiej czarowała swoimi talentami i urodą. Miała lazurowe oczy i gęste jasno blond włosy, czarujący głos, majestatyczną postawę, maleńkie rączki i nóżki. Jej wdzięki opiewał czule poeta francuski Louis de Barras, wierny i podobno tylko platoniczny wielbiciel. Ale i hr. Castiglione protegowała Carolinę nakłonił listu polecającego ks. Poniatowskiego — Monterotondo.

W tym wielkim świecie drugiego cesarstwa zabawy, intrygi i polityka następowały sobie na piętach. Cavour nie zaniedbywał żadnych atutów. Carolina mogła się przydać. Nakłonił więc markiza Geofilo do pozostania w Paryżu. Wiele sobie obiecywał po wdzięku młodzieńczej jego żony, po jej światowych talentach, zwłaszcza, że hr. Castiglione wprowadziła Carolinę na dwór cesarski. Pisał więc Cavour do Emanuela II: „Zwycięstwo będzie nasze, jeżeli „mała florentynka” zakrzętnie się przy Napoleonie III i skłoni go do dobrego ustosunkowania się do nas”.

Ale Napoleon III stracił swoją polityczną przydatność pod Sedanem. Zdmuchnięta rozgromem 1870 r., znika nazawszc świetność Tuillerii. Małżonkowie Geofilo



ogarnięci przez rewolucję, wypędzeni przez Republikę, opuścili Paryż i wrócili do Florencji. Nie nie winny o tym, czy markiz Geofilo kontynuował swoją karierę polityczną, natomiast Carolina błądziła w salonach Florencji i Rzymu, a poela Barras zasypywał ją wierszowanymi listami, w których dominującą nutą był ból, żal i tęsknota.

Należy przypuszczać, że markiz Geofilo nie znalazł odpowiedniego urzędu w zjednoczonej Italii, skoro ciągle trzeba było czerpać ze skatuty książęcego tabora. Ale i ks. Monterotondo, żyjąc szeroko i rozrzućnie w stolicach Europy — Londynie, Madrycie, Paryżu — uobał. Carolina miała rekompensatę w — sztuce, w kulturalnym amatorstwie będąc wszystkich sztuk pięknych: muzyki, malarstwa, literatury. A pisząc urocze listy do znajomych, podpisywała się... „księżniczka Poniatowska”.

Jeszcze raz wybrali się państwo Geofilo na wóaż. W r. 1886 zawitali do Paryża, gdzie Carolina dała koncert przed publiką złożoną z dawnych przyjaciół, arystokracją o międzynarodowych nazwiskach. Ten triumf artystyczny i towarzyski — nazwano ją przecież „małą Adeliną Patti” — będzie do końca życia jej szczytowym wspomnieniem. Bo już trzeba było porzucić wielkie środowiska i wycofać się do dóbr męża w Apulii. Była to jeszcze wspomniana rezydencja w Lecce. Ale przez dwa-dziesiąt lat pobytu w Apulii, zwolna wszystko szarzało i kurczyło się.

Młoda jeszcze i piękna, Carolina otoczyła się elitą umysłową, otworzyła salon, goszcząc artystów i uczonych. Posiadała dużo waleorów umysłu i serca. Podziwiano ją, że potrafi zastosować się do coraz bardziej skromnych warunków. Nie narzekata na zmianę losu, a nawet skromny domek w Latiano — który zastąpił „rezydencję” — zadawała ją.

Kiedy było już zupełnie źle, markiz przyjął urząd w małej apulijskiej mieścinie (prowadził kataster miejski). W ciasnej uliczce, trzy pokojowo mieszkanie, w sekreterze pamiętki świetnej przeszłości, swąd przypalonej oliwy w kuchni, ubogie posiłki. — Obecna właścicielka mieszkania, rozłożysta i zadywna, pokazuje w swojej sypialni miejsce, gdzie stało łóżko Caroliny, gdzie umarła. Wskazuje na zamknięte drzwi pokoju (lokator właśnie wyszedł i zabrał klucze), w którym umierał na zapalenie płuc markiz Geofilo, w 1922.

Carolina została sama w M. Przyjaciele gdzieś już dawno znikli, nawet rodzina Geofilo nie pamiętała o „księżniczce Poniatowskiej”. Naprzeciwko mieszkała uboga wyrobnicza rodzina Greco, więc Carolina stała w oknie i rozmawiała z sąsiadami, zwabiając do siebie ich dwoje dzieci. Miała też camerriera, raczej postugaczkę, która zapewne i wtedy nie grzeszyła czystością, skoro dziś jest brudniejsza, niż wszystkie brudne kobiety w M. — Margrabina była już bardzo chora — tyle o niej umie powiedzieć była camerriera.

I miała też Carolina pieszka — Ami —, którego zgon oplakiwała w liście do szwagierki w roku 1925. Piszę tak: „Dziękuję Ci z serca za Twoją pomoc. Miejmy nadzieję, że światło wreszcie zabłyśnie! Cierpię za wiele! Moje warunki są jeszcze bardziej oplakane, niż moja samotność. Odszedł odemnie nawet biedny Ami — jedyny, który pozostał z tych, których kochałam i który mnie wzajem kochał. Umarł ze starości, a choć ostatnio dużo z nim miałam kłopotu, pusto mi teraz bez niego. Okropna jest moja starość!!!”

Toczona przez raka żołądka, coraz słabsza, przywoływała dzieci sąsiadów, żeby im opowiadać o wielkim świecie, swolich triumfach, swoim minionym szczęściu. Potym znówu grzebała się w papierach, w pamiętkach. W liście do Mikolaja Bernardini di Lecce, redaktora dziennika „La Provincia”, ostatniego jej przyjaciela, przekazuje mu i te pamiętki: „Przewidując mój bliski już może i nagły koniec, chcę zniszczyć listy i papiery, którymi nie powinni się zainteresować moi sąsiedzi. Znalazłam parę autografów wspólnych naszym znajomym i posyłam je panu do jego zbiorów. Dodaję też książeczkę (dziś nie do nabycia) z epigramami starych poetów francuskich. Jestem zupełnie pozbawiona sił fizycznych — nie mogę już stąd się oddalić i tu już umrę. Tak godna pożalowania zakończy kobieta, o której Paolo Mantegazza powiedział, że po jej wyjeździe z Acqui Terme, pozostanie pustka... „Sic transit gloria mundi!!!”

List ten, pisany na miesiąc przed śmiercią, likwidował przeszłość Caroliny tak żałośnie, że tylko jeszcze śmierć w bólach (22. lipca 1926 roku) i tylko wspólny grób dla ubogich na cmentarzu miasteczka — jeszcze bardziej niweczyły minioną świetność „księżniczki Poniatowskiej”.

Jej testament wyjął z za pazuchy (dostojnie) Vincenzo Greco, jeden z tych dwojga dzieci sąsiadów Caroliny Geofilo. Akt dyktowany przez umierającą, pisany nie

wprawną ręką tyle że piśmiennego człowieka. Dyktowała — że zostawia odziedziczoną po mężu kwotę 8074 lir. Z kwoty tej należy zapłacić długi zaciągnięte u pewnych osób w Lecce, resztę niech zatrzyma Vincenzo Greco. Podpis kładła już drżąca niemocną ręką. I fotografię pokazywał mi Vincenzo, wyblakły dagerotyp przedstawiający markizę Carolinę taką, jaka była w świetnych czasach drugiego cesarstwa.

Nadużywając gestów, Greco niejasno tłumaczył się, że bardzo chciał za resztę pieniędzy pochować Carolinę Geofilo. Ale

Listy do Redakcji

Przekonał się

Muszę powiedzieć kilka słów, a raczej przemówić do Was Koledzy. Niech zostanie to między nami, bo gdyby wszyscy wiedzieli, większa część kolegów nie mogłaby śmiało spojrzeć w oczy. Jeszcze przed kilkoma dniami słyszało się wiele plotek o naszych siostrach i wogóle o P.S.K. Lecz dziś gdy nas setki leży na łóżkach szpitalnych, przekonał się, co znaczy praca siostry. Ale najlepiej od początku. Przejeżdżamy przez szereg punktów opatrunkowych i otóż młodszą od ciebie siostrę wydaje ci się matką, myje cię jakgdybyś był niemowlęciem, karmi cię, pyta — może czekoladę, względnie herbatę, papierozy, kanapki, naprawdę jak rodzona matka, której syn jedynak leży na łóżku śmierci, oddałaby swoje życie aby on był zdrowy. A więc zastanówmy się głębiej nad tą sprawą: Gdyby nie było sióstr, ile by naszych kolegów zdolnych trzymać karabin w dłoni musiało nas obsługiwać. A więc przyrzeknijmy sobie, że będziemy je szanować, jak rodzone siostry i uturujemy im drogę do Ojczyzny. Nie jest to zmyślane, ale sam to przeżywałem.

M. p., 15. V. 1944 r.

Huszczka Paweł

List żołnierza do ochotniczki

Mam sobie za obowiązek wyznania naszych uczuć i wrażeń, które w polskim obozie zazналиśmy. Przede wszystkim nie jestem w stanie odmówić sobie przyjemności skreślenia tych oto kilku słów. Znadto serca nasze przejęte są radością, otuchą i miłością Ojczyzny, swych Rodaków i Rodaczek. Czynie to też i w dowód podziękii, zachwyty i uznania dla naszych sióstr Polek w imieniu wszystkich żołnierzy obozowych.

Prawda, że brak sił i talentu na należyte określenie tego, co się odczuwa po tak długiej rozterce i bolesnych wrażeniach. Mimowoli jednak, wszystkie te przeszłe cierpienia i dolegliwości ustępują znalazłszy się w gronie tak drogich i kochanych osób. Cieszyć się i napawać się

wtedy, gdy umarła nie było go w miasteczku. Kiedy wrócił tu po dłuższej nieobecności, proboszcz miejscowy nie zgodził się na ekshumację zwłok ze wspólnego grobu. Dziś nie ma już śladu na cmentarzu, gdzie pochowano Carolinę Geofilo, ponieważ groby ubogich co pewien czas zacierają.

Smutna historia „księżniczki Poniatowskiej” opowiedziana tutaj ma dla nas właśnie egzotykę... polskości tak nikłej i tak wyblakłej, jak stary dagerotyp.

»

niezłomną silną wolą i dążeniem naszego narodu. A co właśnie nami wstrząsnęło i do głębi przejęło — to spotkanie naszych Rodaczek na obczyźnie.

Kochane siostry Rodaczki, nie jestem w stanie Wam tu, jaką to wdzięczność do Was czujemy — określić. Narzucone nam warunki życia przez zaborców wryły się głęboko, marnując nas pod względem fizycznym, ale i więcej może moralnym, co każdy nasz Rodak i Rodaczka zaznała. Wyzierano nam mową ojczystą, zmuszając poniekąd narzucaniem języków nam obcych i niekochanych. Więc jakież to szczęście, gdy los i Bóg nasze drogi pokierował i jakby cudem znajdujemy się znowu w gronie tylko swoich braci i sióstr. Jak zachwycająca wydaje się nam mowa ojczysta, nasze śpiewki. Poproście serce jakby inaczej bije i dusza odżywniona. Znajdujemy się w obozie i to w obozie polskim. Ale cóż dopiero za radość, gdy okazuje się, że nie jesteśmy sami w tak dalekiej obczyźnie. Ni stąd, ni zowąd idzie pogłoska, z ust do ust — nasze Polki pomiędzy nami! Czyżby tak być miało?

Słyszało się nieraz coś o zorganizowaniu Polek na obczyźnie, ale powiedzieć można, że wysunięte to było niby przez cień i mówić o tym było rzeczą niebezpieczną. Więc wybaczenie, że osmielam się tu wyrazić, że niby w ulu tak wrzało w obozie i nuże każdy z bijącym sercem dąży do świetlicy obozowej, aby ujrzeć i słyszeć nasze Rodaczki Polki. Ach, jak błogo odbijał się każdy dźwięk polskiego języka z ust naszych niewiast Polek! Cóż za szczęście i podziw! Przywykło się bowiem do widowisk, gdzie polskie kobiety za swą mowę ojczystą w twarz bite były. Za swą mowę katowane były. W więzieniach o głodzie i chłodzie cierpiały i umierały.

Ach, siostry Rodaczki, hołd Wam się należy za Wasze cierpienia i znoje. Za Waszą tak nieograniczoną bohaterkość. Za Wasze dążenia — wreszcie za Waszą pracę, którą teraz złożyliście i Ojczyźnie ofiarujecie. Nam tu, aby nas rozerwać, pocieszyć, dodać sił i otuchy i wiarę w lepsze jutro. I jak to harmonijnie wszystko zorganizować potrafiliście. Jak to już wspominałem, nas pocieszać umiecie, czy to książką, czy też różnymi innymi przedmio-

ami gry i zabaw. I dużo jeszcze więcej nas zapewniliście swą czynnością przez pismo „Ochotniczka”. Jak to chciałem, że tak się wyrażę, czytaliśmy te zdania i ustępy tej gazetki. Przekonujemy się, czy to z „Ochotniczki”, czy też naocznie, że nie tylko rzeczami świetlicowymi nas obdarzacie, ale i skutecznie i wprawnie zastępują szeregi ochotniczek miejsce mężczyzny, żołnierza, pomimo może nieraz wątpliwych sił fizycznych.

Jakież to poświęcenie uwydatnia się spełniane dla celu upragnionego. Rodaczki, Polki, ach jak dumni z Was jesteśmy. Ież Wam to zawdzięczać powinniśmy i chlubą naszego narodu jesteście.

A co odczuwa serce żołnierza, gdy odczuwa jak siostry jego zajęte są wspólną sprawą, czyż może się w takim razie zawałać? O, nie — nigdy! Dodajecie tym samym nam żołnierzom ducha niezłomnego i taką siłę woli i pewność, że żadna siła nie

podola takowej zapałai. Otóż już niedługo, krotne historia pokazała nam o nie złomności ducha polskiego. Tym bardziej zorganizowani jesteśmy, dojdziemy do celu. Każdy z nas chętnie ostatnią kroplę krwi i życie złoży w ofierze Ojczyźnie i dla tu strasznie prześladowanym. Oby kołki i krew nasza otwarły im wrota do Matki Ojczyzny i wyzwoliły z pod jarzma wiczych wrogów i zaborców!

Siostry najdroższe, Ież to więc mamy Wam do zawdzięczenia. Nie zapomną nasze serca żołnierskie Wam nigdy i przyjdzie pora, gdy w wolnej spotkamy się ojczyźnie i do tego dotrzemy. Na szczyt chwały Was wynieśliemy, a raczej winni Wam to jesteśmy i uczynić powinniśmy.

Tak nam dopomóż Bóg i Matko Najświętsza.

Żołnierz polski

KRONIKA

OD REDAKCJI. — Dłuższa przerwa w wydawaniu „Ochotniczki” spowodowana została zmianą nietylko m.p., ale warunków pracy. Od N-ru bieżącego „Ochotniczka” weszła w skład wydawnictw Oddziału Propagandy i Kultury A.P.W. Nie zmieniając założeń swoich i pod tą samą redakcją, pismo będzie Wam i nadal towarzyszyć, kochane Koleżanki, w drodze do Polski. Prosimy kierować artykuły, reportaże i listy bądź to przez Inspektorat Główny P.S.K. bądź bezpośrednio: Oddział Propagandy i Kultury — Kierownik Wydawnictw i Czasopism Wojskowych — Dla „Ochotniczki” — Polish Forces C.M.F. 58.

„OCHOTNICZKA NA SR. WSCHODZIE” — zaczęła się ukazywać jako dodatek do „Biuletynu Obozowego”. W Nr. 1 (lipiec 1944) w zapowiedzi „od Redakcji” czytamy: „Trzy są dziedziny w życiu jednostki i zbiorowości, którymi musimy się interesować, jeśli mamy się rozwijać: uprawa charakteru, umysłu i uczuć. Trzy są postacie naszych obowiązków w P.S.W.K: jako żołnierzy, obywateli i kobiet. W ramach tych trzech dziedzin i tych trzech obowiązków — aż nadto rozległych — będziemy się wypowiadać, a tym samym wzajemnie wychowywać i zespalać.” - Sześciostronicowy „dodatek” jest redagowany żywo i porusza aktualne tematy. Życzymy „Ochotniczce na Sr. Wschodzie” dobrych wyników w pracy i realizacji zamierzeń.

POCHWAŁA KOBIECY POLSKIEJ... PRZEZ NIEMCA — W roku 1942 wyszła z druku w Lipsku książka dr. Hansa Joachima Geyera p.t. „Das Schicksal der Polen” podająca charakterystykę narodu polskiego i omawiająca teoretyczne podstawy niemieckiej propagandy i polityki na terenie naszego Kraju. M. in. pisze on:

„Kobieta polska jest jednym z najbardziej charakterystycznych zjawisk Europy środkowo-wschodniej. Sławiono mocno w piśmiennictwie jej patriotyzm, jej waleczność i jej wychowawcze zdolności. Takie

kobiety dzięki bezwzględemu oddaniu się dla własnego narodu, posiadają pewną przewagę, co jest źródłem czasowych zwycięstw. Już Bismark zwrócił uwagę w swojej wielkiej mowie pod koniec stycznia 1886 roku — na rolę polskiej kobiety. Od tego czasu siła Polek i groźba z ich strony niebezpieczeństwo znacznie się powiększyło...”

Te słowa niemieckiego autora, wypowiedziane z intencją ostrzeżenia jego współziomków, stały się — wbrew jego woli — najlepszą pochwałą kobiety polskiej. Przytoczyć tu zresztą wystarczy heroiczne powiedzenie prostej kobiety wiejskiej ze Śląska Opolskiego, której jedyny syn został przez Niemców wcielony do armii w r. 1942. Oświadczyła ona wówczas: „Już bych i tego syna ochfiarowała, bele ta Polska powstała...”. We wszystkich warstwach społeczeństwa polskiego znajdujemy setki i tysiące takich kobiet. Stuzszenie ostrzeże przed nimi Niemców p. Hans Geyer. Są one bowiem gotowe poświęcić wszystko, co życiu ich nadaje wartość, „byle ta Polska powstała”.

KOBIECY SA INNEGO ZDANIA — Rola kobiet w życiu konspiracyjnym Polski jest niezwykle doniosła. Pracują one nietylko w dziedzinach, które zwykliśmy nazywać „typowo kobiecymi”, ale także na najcięższych, najbardziej odpowiedzialnych posterunkach. Kobiety są redaktorkami pism, kurierkami, wchodzą w skład grup dywersyjnych i sabotażowych, biorą bezpośredni udział nawet w takich akcjach jak wykołajanie pociągów oraz wysadzanie mostów. Kobiety polskie zerwały z rolą biernego wyczekiwania, udzielania tylko poparcia i zachęty walczącym mężom, ojcom i braciom. Same stanęły w pierwszej linii podziemnego frontu. W Armi Krajowej kobiety pełnią nietylko funkcje sanitariuszek podziemnego Czerwonego Krzyża, są również szeregowymi, podoficerami, oficerami walczącymi z bronią w ręku. Ta

„konspiracyjna konspiracyjna” stała się przedmiotem dyskusji na łamach tej samej pracy. Wiele wybitnych datelańz konspiracyjnych wypowiedziało się przeciw tak znaczenemu ogólnowemu się kłóceniu polskich w działaniach, postępowaniu za sobą niezliczone ofiary. Ale kobiety są innego zdania. Oto, co pisze do ten temat pismo kobiece „Żywa”. „Stuzszenie konspiracyjne, że kona nie pracuje konspiracyjnie, jest nietylko złudzeniem. Dlatego stuzszenie w obronie tych kobiet, które pracować chcą i poświęciły się, że pracować potrafią. Nikt nie ma prawa zabronić im pracy dla wolności — nawet rodzony mąż”.

KONKURS NA PROJEKT ODZNAKI P.S.K.

Inspektorat P.S.K. ogłasza konkurs na projekt odznaki P.S.K.

Odznaka powinna odpowiadać następującym warunkom:

- 1) Zawierać godło państwowe (orzeł) do wolnie traktowane (heraldycznie lub jako element dekoracyjny).
- 2) Zawierać litery P.S.K. oraz rok powstania Pomocniczej Służby Kobiet — 1941.
- 3) Jako materiał, z którego odznaka będzie wykonana, należy uwzględniać metal szlancowany lub też odlewany.
- 4) Wielkość odznaki nie może przekraczać wymiarów 5 cm X 3 cm.

Projekt należy wykonać w skali powiększonej dowolnie, jednak na papierze nie przekraczającym wymiarów 25 cm X 35 cm.

Projekt powinien obrazować plastyką odznaki (cienie na powierzchni). Technika wykonania — dowolna: ołówek, pióro, farby.

Do projektu powinna być załączona zaklejona koperta zawierająca nazwisko i adres autora.

Na projekcie i na kopercie należy umieścić godło.

Termin konkursu: Projekty należy nadesłać do Inspektoratu Gł. P.S.K. Polish Forces C.M.F. 606, w terminie do dnia 15 sierpnia 1944 r.

(Obowiązuje data stempla pocztowego z dn. 15 VIII. 44. r.)

Nagrody. Za pracę zakwalifikowaną do wykonania przez sąd konkursowy wyznaczona zostaje nagroda 8.000 lirów; pozatym sądowi konkursowemu przysługuje prawo zakupu innych projektów po 2.000 lirów. Nagrody zostaną przestane lub doręczone natychmiast po ogłoszeniu wyniku konkursu.

Padres Franciscanos
 c. Juan Pablo II 2360
 1682 MARTIN CORONADO
 Pcia. Buenos Aires
 ARGENTINA
 Tel/Fax: (0054) 11 4842-0589
 E-mail: jurek@uolsinectis.com.ar

EX LIBRIS
 N. IT. DĄBROWSKICH

Padres Franciscanos
 c. Juan Pablo II 2360
 1682 MARTIN CORONADO
 Pcia. Buenos Aires
 ARGENTINA
 Tel/Fax: (0054) 11 4842-0589
 E-mail: jurek@uolsinectis.com.ar

TREŚĆ NUMERU

- | | | | |
|---|-----------------------------------|---|---------------------------|
| 1. Żołnierz — obywatel . . . | <i>H. N.</i> | 13. W walce ze śmiercią . . . | <i>Siostra Maryna</i> |
| 2. U Ojca Świętego . . . | | 14. 24 godziny sanitariuszki . | <i>H. C.</i> |
| 3. I oto wyrosli wielcy przy-
wódcy... | | 15. Na froncie wytrzymałości
psychicznej | <i>Krystyna Cato</i> |
| 4. Dwie daty | | 16. Od Kirkuku po Cassino . | <i>Henryka Ciupkówna</i> |
| 5. Wrażenia | <i>Maria Pawlikowska</i> | 17. Jak zdobyliśmy Brygadę
Karpacką | <i>Zespół Kantyniarek</i> |
| 6. Rozkaz Naczelnego Wodza | | 18. Czysta poezja | <i>S. Ł.</i> |
| 7. Warszawa — symbol wol-
ności | <i>Mieczysław Roman</i> | 19. A jednak Zosia Terne
miała rację | <i>Hanka Gabaniska</i> |
| 8. Inter arma non silent mu-
sae | <i>K. Winnicka</i> | 20. Radiostacja P. S. K. . . . | <i>Anna Sztymborska</i> |
| 9. Jedzie w wojnę dziewczyna | <i>Krystyna B.</i> | 21. Praca Polek w Rzymie . | <i>H. Mirecka</i> |
| 10. Można na Was polegać . | <i>Bronisława
Wysłouchowa</i> | 22. Pani Zofia | <i>M. M.</i> |
| 11. Historia, która pisze się
osobno | <i>Herminia
Naglerowa</i> | 23. Rendez-vous | <i>Antoni Cwojdzinski</i> |
| 12. Cienie na piasku | <i>Beata Obertyńska</i> | 24. Smutna Historia | <i>n.</i> |
| | | 25. Listy | |
| | | 26. Kronika | |